

MAGAZYN *razem z dodatkami*

- Jak nauczyć się żyć z suszą i coraz bardziej niszczącymi ulewami
 - Zwolnieni z pracy. Szok, psychiatra i nowe życie
 - Skargi na lekarzy
 - Z czym piłkarz przychodzi do księdza
- PLUS** TELEMAGAZYN z programem TV i zapowiedziami najciekawszych programów w tygodniu



Express BYDGOSKI

Piątek
24.04.2026

Nr 95 (11283)
Rok XXXVII

www.expressbydgoski.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)



Operacja w szpitalu bez prądu?
Trzeba się przygotować
str. 3

Kronika bydgoska
Bydgoski raper ratuje kawałek świata
str. 2

Nr ISSN 1230-9192

Nr indeksu 350680



Jest weekend? To znów są urodziny!



Dziś spod ratusza pod pomnik króla przemaszerują Bydgoszczanie z podstawówek. Tydzień temu urodziny miasta otworzył korowód IV LO. Oj, będzie się jeszcze działo w ten weekend **str. 11**

Co z dokończeniem rozbudowy Biziela?
Firmy, które zgłosiły się do przetargu chcą za dużo pieniędzy za to zadanie
str. 6

Dino jutro przez 2 godziny stoi?
Pracownicy sieci handlowej zapowiedzieli protest
str. 10

Bydgoskie Klasyki już po raz 10.
Pałac w Lubostroniu zaprasza miłośników motoryzacji
str. 10

REKLAMA

0211496057



W życiu liczy się
SZCZĘŚCIE
Daj mu szansę i graj!



Graj w punktach LOTTO, w aplikacji i na lotto.pl

18+



TYDZIEŃ Z „EXPRESSEM”

SOBOTA

● Dla Łukasza Simlata aktorstwo jest narkotykiem

PONIEDZIAŁEK

● Sportowe wydarzenia, wyniki i tabele z weekendu

WTOREK

● Strefa biznesu - analizy i informacje gospodarcze

ŚRODA

● W tych miejscach uważaj na kleszcze!

CZWARTEK

● Druga Rzeczpospolita i jej broń biologiczna

CZWARTEK

● Gdy dziecko wypadła z okna. Jak rodziców ocenia sąd?

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 52 511 94 64, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.expressbydgoski.pl

pisze
Leszek Waligóra



ZABAWA W SUCHO-MOKRO

Leje jak z cebra, a te ekooszołomy dalej będą mówić, że susza. O, patrz pan, całą zimę padał śnieg, a oni mówią, że susza zimą była. A co komu susza zimą szkodzi? A jak w sierpniu deszcze leje cały czas, to oni narzekają, że źle. Panie, tym ekomaniakom nie dogodzisz. Od tej Unii w głosach im się poprzewracało! - no i streściłem. Bez przekleństw, chodź pewnie i takie by były. Wszyscy macie w rodzinie takiego wujka, prawda? Albo sami takim jesteście. Jeden to pewnie już się szykuje, żeby do mnie napisać. Ale... no właśnie, to kolejna dziedzin, w której chłopski rozum radzi sobie równie źle, jak zawiłości fizyki kwantowej. Bo weź tu na chłopski rozum wytłumacz zasadę nieoznaczoności. Da się? A wiadomo, że działa.

W niedzielę miejscami w naszym regionie wieczorem zaczął padać deszcz. W poniedziałek wieczorem już nie padał, ale i tak to było najwięcej od niemal roku. Ba, to było tyle, ile normalnie pada w całym kwietniu. I w sumie wszystko się zgadza, bo był to pierwszy - i być może ostatni deszcz w kwietniu. W tym samym kwietniu, kiedy startują rolnicze i ogrodnicze wysiewy. Wicie rozumiecie, na chłopski rozum, bez wody to nawet włosy nie urosną.

Kolejny ekooszołom, myślisz sobie, Czytelniku? I notujesz w pamięci, żeby się kretynowi przypomnieć, gdy kolejna powódź spustoszy południe Polski, albo oberwanie chmury wybije kanalizację czy zarwie kolejny dach w jakiejś świeżo wybudowanej poznańskiej hali? A to są dwie strony tej samej monety. Nie radzimy sobie z wielkimi opadami deszczu, które zawsze się zdarzały, a teraz będą zdarzać się co roku, bo robiliśmy przez lata wszystko, żeby wodę przegnać.

Bo mokro być nie może. Ja to rozumiem, sam do domu jeżdżę przez kałuże, które czasem zamieniają się w jeziora. Ale te jeziora znikają po dwóch dniach. Porządny deszcz, zapełnia moje beczki przy rynnach w kilka godzin, a ich zawartość znika na podlewanie ogródka w kolejnym tygodniu. Ale ja to jestem pryszcz. Przez dziesięciolecia osuszano co się da. Rowy melioracyjne osuszały pola, bo ciągniki nie mogą wjechać. Osuszaliśmy torfowiska, burzyliśmy bobrze tamy, a kopalnie odkrywkowe tak bardzo pompowały wodę, że wysychały całe jeziora. I nic, nie nauczyło. W regionie mamy świetnych rolników, którzy pokazują światu, ile może zmienić jeden rów melioracyjny, w którym zatrzymuje się woda, albo łąka, której się nie osusza. I mimo, że u nich działa, to są sąsiedzi, którzy wolą po staremu. Na sucho. To znaczy: jak jest sucho, to modlą się o deszcz, ale jak pada, to modlą się, żeby spłynęło.

Przykro to mówić, ale jesteśmy głupszy od dinozaurów. One umarły z głodu przez zimę wywołaną upadkiem asteroidy. A my się zagłodzimy sami. Bo woda zawsze była.

Tylko na Ziemi nie zawsze było 8 miliardów ludzi. ©P

POGODA W BYDGOSZCZY

Piątek

17°C
4°C



Wiatr
płn.-zach., 22 km/h
Ciśnienie
1014 hPa
Biomet
korzystny

KRONIKA BYDGOSKA

Bydgoski raper ratuje kawalek świata

Ewa Czarnowska-Woźniak
ewa.czarnowska-wozniak@polskapress.pl

Akcja Bedoesa rozgrzała internet. Po raz kolejny ludzka solidarność próbuje zdziałać cuda.

Dzisiejszy świat pełen jest dołączających, opresyjnych informacji, podważających jego porządek, godzących w nasze spokoj i poczucie bezpieczeństwa. Wielką ulgę zatem przynoszą wieści, pozwalające wierzyć w podstawowe wartości. Czegoś się trzeba złapać...

W kolejnych Kronikach bydgoskich staram się więc wyszukiwać i komentować zdarzenia, które się właśnie w ten nurt wpisują. Czasem może to wyglądać nieco infantylnie, gdy cieszyć się, że panie w bydgoskim ratuszu są miłe albo że nie zawiodła mnie komunikacja miejska. „Cieszymy się z małych rzeczy”. Czegoś trzeba się trzymać.

Jak więc wielką sprawą jest historia, która rozgrzała w ostatnich dniach internet, stacje telewizyjne, rozgłośnie radiowe i pocziwe stare gazety. Historia, która ma swój początek w Bydgoszczy, ściślej na Bartodziejach, bo z tego osiedla wywodzi się raper Bedoes 2115. Nie będę udawać, że znam się na rapie. Trudno też uwierzyć, że starsza pani, taka jak ja, w ogóle



Latem 2023 Bedoes wystąpił na koncercie w rodzinnej Bydgoszczy

rapu słucha. Ale mało kto w tych dniach nie słyszał choćby kawałka przejmującego utworu „Ciagle tutaj jestem”. W podtytule - „diss na raka”. Diss to slangowe określenie ataku słownego, często świadomie obraźliwego, chętnie wykorzystywanego w tym środowisku. Kiedy poczytałam sobie biogram Bedoesa, zorientowałam się, że artysta wyjątkowo chętnie mierzy dissami w kolegów z branży (z wzajemnością). Tym razem jednak sięgnął po dissowanie wyjątkowo trudnego przeciwnika - nowotworu. W „Ciagle tutaj jestem” rapuje o tym, że rak odcisnął piętno na jego rodzinie, główną bohaterką jego utworu jest jednak 11-letnia Majka, dziewczynka walcząca z trzecią wznową cho-

roby. Maja jest podopieczną Fundacji Cancer Fighters, opiekującej się ponad 700 pacjentami onkologicznymi, głównie dziećmi. I Bedoes z Majką swoim „wykonem” na ich rzecz wystrzelili z armaty. Jak donosi internet, raper wpłacił na rzecz fundacji ponad 700 tysięcy złotych, ale i pociągnął za sobą dość skonfliktowaną na co dzień branżę. W internecie pojawiła się całodobowa, obliczona na 9 dni relacja znanego z różnych wyzwań influencera Łatwoganga, gdzie nie tylko puszczany jest zapętlony utwór „Ciagle tutaj jestem”, ale również dołączają gościnnie znani w różnych kręgach artyści. Nie wstydzę się przyznać, że większość ksywek osób występujących teraz na streamie jest mi obca, że choć odróżniam Dodę od Żabsona, i tak zostanę przy swoich muzycznych wyborach. Jedno jest jednak pewne - ogromny szacunek dla wszystkich zaangażowanych! Akcja internetowa kończy się w niedzielę, jej finansowe założenia już dawno zostały prze-

kroczone, ale na pewno ten projekt sprawi, że - bez względu na wiek i upodobania - ta idea pomocy zyska dzięki temu środowisku wielu sprzymierzeńców.

To zresztą nie pierwszy raz, gdy Bedoes firmuje ważne prozdrowotne przedsięwzięcia. Wcześniej wspierał też wszak poświęcony wsparciu psychicznemu młodych ludzi projekt „Młode głowy” fundacji Martyny Wojciechowskiej. Celebrytka, która wypowiadała się o bydgoszczaninie z dużą sympatią i szacunkiem, doceniając bezpośredniość i autentyczność artysty. Zalety, które miały być skutecznym narzędziem w dotarciu do borykającej się ze zdrowiem psychicznym młodzieży. Operujący głosem pokolenia chłopak z Bartodziejów wie, o czym mówią. We wtorek obchodził 28 urodziny. „Ciagle tutaj jestem” to prezent urodzinowy - nie tylko dla niego. Raperzy i Cancer Fighters, Team Litewka, Jerzy Owsiak i WOŚP. Jak dobrze, że są, jak dobrze, że potrafią czasem przekonać do siebie tak wielu ludzi. Mniej lub bardziej sformalizowane grupy, w których siła, gdy niedomaga system albo przeciwnik wydaje się być większy niż życie.

Ciagle tutaj jesteście, Majka. I nigdzie się nie wybieraj. ©P

Tym razem Bedoes sięgnął po dissowanie wyjątkowo trudnego przeciwnika - nowotworu. I wystrzelili z armaty.

W SOBOTĘ Z „EXPRESSEM”



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Irena Dziedzic przez prawie czterdzieści lat gościła w domach milionów Polaków. Zrosła się z „Tele-Echem”, oskarżano ją o najgorsze. Czy naprawdę miała romans z Karolem Strassburgerem? Czy rzeczywiście

współpracowała z SB? Pracę zawodową rozpoczęła w 1946 r. w „Echu Krakowa”. Po przeprowadzce do Warszawy zaczęła pracę w Polskim Radiu i Telewizji Polskiej. Przez ostatnie osiem lat w telewizji, do 1991 r., kreowała własny program: „Wywiady Ireny Dziedzic”.

Ponadto:

- Nawracające infekcje dróg moczowych.
- Niepowtarzalny klimat Półwyspu Helskiego.
- Egzotyczne kleszcze Hyalomma dotarły także do Polski.



FOT. W. WOTKIELEWICZ

Małgorzata Topolska
z Okręgowej Izby
Lekarskiej w Białymstoku

”

Wpływa coraz więcej skarg. Z jednej strony można mówić o większej świadomości pacjentów. Z drugiej strony znaczenie ma też łatwość składania skarg.

Puls, str. 18

Dziurawa cyber-tarcza. Co z siecią w Bydgoszczy?

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress.pl

Pełnomocnik rządu ds. cyberbezpieczeństwa Krzysztof Gawkowski apeluje o aktualizację systemów Cisco IMC i Cisco NFVIS. Przez wykrytą lukę w oprogramowaniu zagrożone są urzędy, szpitale, uczelnie i sektor energetyczny. Jak radzą sobie bydgoskie instytucje?



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI/ZDZIEŃCE ILLUSTRACYJNE

„Rekomenduję podmiotom krajowego systemu cyberbezpieczeństwa bezzwłoczną aktualizację oprogramowania Cisco Integrated Management Controller (IMC) oraz Cisco Network Function Virtualization Infrastructure Software (NFVIS) do najbardziej aktualnej wersji, lub co najmniej do wersji, dla której krytyczna podatność CVE-2026-20093 została usunięta zgodnie z zaleceniami producenta” - brzmią pierwsze słowa ostrzeżenia wydane przez resort cyfryzacji.

Pod rekomendacją podpisany jest minister Krzysztof Gawkowski, pełnomocnik rządu ds. cyberbezpieczeństwa. Nota nosi datę 17 kwietnia.

W systemach Cisco, które służą do zabezpieczania cyfrowego instytucji publicznych wykryto możliwość złamania zabezpieczeń

**Groźba włamania
od uczelni
do oczyszczalni
ścieków**

„Ponadto, rekomenduję także zaprzestanie wykorzystywania produktów firmy Cisco, dla których producent nie oferuje już wsparcia technicznego w zakresie aktualizacji w oprogramowaniu lub samym urządzeniu, lub które uzyskały status End of Life” - wskazuje szef Ministerstwa Cyfryzacji. „W takim przypadku należy dokonać analizy ryzyka i w możliwym zakresie wyłączyć urządzenie z eksploatacji lub przeprowadzić proces migracji do now-

szych wersji urządzeń lub dokonać zmiany stosowanego rozwiązania”.

Chodzi o zagrożenie dotyczące działania instytucji publicznych, od administracji centralnej, przez uczelnie, instytuty naukowe, a także urzędy na poziomie samorządów, np. zajmujące się instalacjami do uzdatniania wody, czy odprowadzania ścieków.

„Rekomenduję również, z uwagi na możliwość kompromitacji infrastruktury, przeprowadzenie niezwłocznie aktualizacji urządzeń w przypadku, gdy takie aktualizacje producenta są wydawane w stosunku

do kolejnych ujawnianych podatności” - czytamy w rekomendacji.

Dalej pada wyjaśnienie, że takie działania są „niezbędne w celu skutecznego ograniczenia ryzyka potencjalnego wykorzystania podatności, zapewnienia ciągłości działania oraz bezpieczeństwa operacyjnego systemów”.

Bydgoska uczelnia jest operatorem gigantycznej sieci

Minister przeprowadził konsultację z instytucjami takimi jak CSIRT NASK, CSIRT GOV oraz CSIRT MON, na podstawie której „została potwierdzona możliwość wystąpienia incydentu krytycznego w przypadku niezastosowania się do powyższej rekomendacji”.

Tym samym - czytamy - „stwierdza się, że stosowanie oprogramowania z ww. podatnościami ma negatywny wpływ na bezpieczeństwo publiczne i istotny interes bezpieczeństwa państwa”.

Jak bezpieczne są w tym kontekście instytucje w Bydgoszczy i regionie?

- KPUW nie posiada wspomnianego oprogramowania. Pełnomocnik Wojewody ds.

Cyberbezpieczeństwa na bieżąco monitoruje rekomendacje oraz alarmy Pełnomocnika Rządu do spraw Cyberbezpieczeństwa oraz na bieżąco otrzymuje informacje o aktualnych lukach bezpieczeństwa i na bieżąco z Zespołem IT weryfikują czy aktualne luki bezpieczeństwa są powiązane z Infrastrukturą KPUW - mówi Natalia Szczerbińska, rzeczniczka prasowa wojewody kujawsko-pomorskiego. - Jeśli tak, to podejmują natychmiastowe działania celem poinformowania dyirekcji urzędu oraz zaktualizowania systemów do bezpiecznych wersji.

Dodaje, że w ramach projektu Cyberbezpieczny Rząd jest przygotowane postępowanie na zakup przełączników CISCO dla bydgoskiego urzędu.

**Atak hakerski
na uniwersytet**

Czekamy również na odpowiedź z Politechniki Bydgoskiej im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich, obsługującej największą lokalnie sieć informacyjną. Miejska Akademicka Sieć Komputerowa w Bydgoszczy (MASK BYDMAN) jest optyczną siecią metropolitalną o charakterze naukowo-akade-

mickim. Warto zaznaczyć tu, że PBS, na podstawie wpisu do rejestru przedsiębiorców telekomunikacyjnych, ma status publicznego operatora telekomunikacyjnego.

Podstawowym zadaniem Miejskiej Akademickiej Sieci Komputerowej BYDMAN jest dostarczenie szybkich, niezawodnych połączeń teleinformatycznych pomiędzy jednostkami naukowobadawczymi środowiska bydgoskiego oraz zapewnienie łączności z krajowymi i zagranicznymi ośrodkami naukowymi.

Przypomnijmy, że z atakami hakerskimi mierzyły się już inne uczelnie. Ostatnio z15 na 16 kwietnia w wyniku cyberataku na Uniwersytet Warszawski w darknetcie opublikowano ok. 200 tys. plików (850 GB). Część z nich mogła zawierać dane osobowe, w tym m.in. pracowników, studentów czy nawet kandydatów na studia. Według uczelni osoba odpowiedzialna za publikację uzyskała wcześniej dostęp do prawidłowego loginu i hasła za pomocą złośliwego oprogramowania na urządzeniu użytkownika systemu.©©

Wilki na przedmieściu. Rada osiedla zawiadamia centrum kryzysowe

Agnieszka Romanowicz
agnieszka.romanowicz@polskapress.pl

Wilki pojawiają się w zielonych częściach miast. W bydgoskim Oplawcu, na Osowej Górze, a także na toruńskich Wrzosach. Coraz częściej są też widywane na wsiach w regionie.

- W związku z informacjami o kolejnych przypadkach pojawienia się wilków na naszym osiedlu, Rada Osiedla Smukała Oplawiec Janowo zwróciła się do Centrum Zarządzania Kryzysowego z prośbą o instrukcje dotyczące dalszego postępowania w tej sprawie - informują radni tych bydgoskich dzielnic. - Podkreślamy, że na tym etapie nie chodzi o podjęcie żadnych drastycznych kroków, jedynie o monitorowanie sytuacji i ocenę ryzyka.

Udział w tym monitoringu mają mieć mieszkańcy, którzy przekażą Centrum informacje.

Prośbą są o podanie: daty, pory, miejsca i krótkiego opisu kontaktu z wilkiem, w tym zachowania zwierzęcia i jego reakcji na człowieka.

- Na podstawie tych danych wydział zarządzania kryzysowego oceni poziom ryzyka i ewentualnie podejmie dalsze czynności - wyjaśniają radni.

Wilki pokazują się też w sąsiednich dzielnicach.

- Na łące między Palmową i Berbersową na Osowej Górze - podają internauci.

W Toruniu też widuje

- Od dwóch lat widuję wilka na skraju Wrzosów w Toruniu. Często jeżdżę rowerem w kierunku Łysomic i też widziałem dwa wilki, ale tylko wcześniej rano. Mam 65 lat i dopiero od niedawna spotykam wilki, to mocne przeżycie - dodaje Czytelnik z Torunia.

Na wsiach widok wilka też budzi emocje: w sołectwach Bajerze i Trzebczyk w gminie Kijewo Królewskie, w Grucie koło Grudziądza, Zielonce i Witoldowie pod Bydgoszczą.

- Już szarżało, gdy na górze dostrzegłam wilka - opowiada Czytelniczka z Witoldowa. - Był około 50 metrów ode mnie. Nie bałam się, tylko długo się przyglądałam, jakby badał sytuację, na ile może sobie pozwolić.



FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI

W dzień wilki są w stanie zidentyfikować człowieka dopiero z odległości 30 metrów. Wilki mają znacznie słabszy wzrok niż ludzie

- W dzień wilki są w stanie zidentyfikować człowieka dopiero z odległości 30 metrów. Jeśli obserwuje się wilka z większej odległości, a on nie reaguje ucieczką, można być pewnym, że z powodu słabszego wzroku wilk nie wie, że człowiek jest w pobliżu - zapewnia dr Sabina Pierużek-Nowak i dr Robert W. Mysłajek z Wydziału Biologii Uniwersy-

tetu Warszawskiego. - Wilk nie dostrzega osób znajdujących się w pojazdach lub za oknami.

Specjaliści podkreślają, że wilki mają znacznie słabszy wzrok niż ludzie:

- Rozpoznają otoczenie głównie przy użyciu węchu i słuchu, dlatego nie zawsze uda się im uniknąć spotkania z człowiekiem - tłumaczą. ©©

Nie będzie ekspresówki Via Pomerania. Drogę ważną dla wojska wykreślono

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

Nie będzie drogi ekspresowej łączącej wybrzeże m.in. z Bydgoszczą. Ministerstwo Obrony Narodowej nie przekonało ministra infrastruktury.

Mimo wcześniejszych zapowiedzi, w najbliższych latach nowej drogi ekspresowej Via Pomerania na pewno nie będzie.

Nie będzie objęta szczególnym trybem

Resort nie przyjął wniosku Ministerstwa Obrony Narodowej, aby wpisać tę trasę do projektu specustawy dotyczącej kluczowych inwestycji infrastrukturalnych.

Droga przedstawiana od miesięcy jako ważna dla bezpieczeństwa państwa, rozwoju portu w Ustce i lepszego skomunikowania Słupska, Bytowa, Chojnicy, Bydgoszczy oraz Inowrocławia, nie została objęta szczególnym trybem procedowania.

W praktyce oznacza to jedno - Via Pomerania nie ruszy

jako nowa droga ekspresowa w najbliższych latach.

Bo są inne działania drogowe

Ministerstwo Infrastruktury wskazuje, że w korytarzu planowanej Via Pomeranii prowadzone są inne działania drogowe.

Wśród nich wymieniana między innymi zakończoną w kwietniu 2024 roku rozbudowę 13-kilometrowego odcinka DK 21 Ustka - Słupsk, planowaną budowę obwodnicy Słupska i Kobylnicy, rozbudowę odcinków DK25, a także budowę obwodnic Człuchowa, Sępólna Krajeńskiego i Kamienia Krajeńskiego.

Pierwszy raz inicjatywa Via Pomerania pojawia się w rządowym przekazie, jako część „Paktu dla Bezpieczeństwa Polski”. W śróde w tej sprawie odbyło się spotkanie w Ministerstwie Obrony Narodowej z udziałem wicepremiera i ministra obrony narodowej Władysława Kosiniak-Kamysza. Via Pomerania w tym pakiecie pojawia się jako priorytet. ©©

Norweg, który wypala mistrzowskie kawy, osiedlił się w Bydgoszczy. „Dobrze się tu żyje”

Adam Szczęśniak
adam.szczesniak@polskapress.pl

Bydgoszcz świętuje właśnie 680. rocznicę urodzin miasta. Dla rdzennych mieszkańców jest domem od urodzenia, dla niektórych jednak nowym miejscem na mapie życia. Miłość do Natalii sprowadziła do nas Norwega Auduna Sørbottena, który dziś swoją drugą miłością - do kawy - sławi nasze miasto.

Audun ma 53 lata, pochodzi z Lillehammer. Ukończył studia na kierunku biochemia i biotechnologia na Uniwersytecie Trondheim. Po studiach pracował w Instytucie Biochemii w Trondheim, a następnie w legendarnej norweskiej palarni Solberg & Hansen (2006-2013).

Dobrze się tu żyje

Poznał i pokochał Bydgoszczankę Natalię i wówczas, w 2013 roku, życiowe tory przedstawił na Bydgoszcz. Tutaj właśnie rok później założył palarnię.

nie kawy. Jego produkty regularnie zdobywają międzynarodowe nagrody i choć jego nazwisko znane jest w świecie kawy, Sørbotten pozostaje osobą skromną i skupioną na swojej pracy.

„Dla mnie Bydgoszcz to miasto, które z czasem cenię coraz bardziej. Jest bardzo piękne, z imponującą architekturą i ogromną liczbą detali, które można odkrywać stopniowo. To miasto daje poczucie, że jest się w samym sercu Europy. Jednocześnie jest na tyle duże, by oferować wszystko, czego potrzeba, ale nie przytłacza jak wielkie stolicę. Najważniejsi są jednak ludzie - otwarci, życzliwi i gościnni. To sprawia, że naprawdę dobrze się tu żyje” - zapewnia Audun.

Pięć medali dla bydgoskiej palarni

Niedawno w San Salvador (stolica Salvadora w Ameryce Środkowej) odbył się prestiżowy konkurs Global Coffee Awards - World Championship Competition. Przysłało w su-



O Audunie pisaliśmy już, gdy w 2015 roku został mistrzem świata w wypalaniu kawy

mie 2000 próbek kawy ze 125 krajów, ale do udziału w części międzynarodowej zakwalifikowanych zostało zaledwie 30 palarni z całego świata, co już samo w sobie stanowiło znaczące wyróżnienie.

W tej „30” znalazła się palarnia Audun Coffee, która ponownie została doceniona przez jury. Łącznie aż 10 kaw wypalonych w Bydgoszczy znalazło się w czołówce, a 5 z nich zdobyło medale, w tym

złoty (kawa Huila Sereno w kategorii espresso bezkofeinowe).

Trzeba... robić dobrze

Już wcześniej bydgoska palarnia zdobywała laury w międzynarodowych konkursach, a sam Audun sięgnął po tytuł mistrza świata w paleniu kawy (2015 r.). W ostatnich latach palarnia była również doceniana na arenie europejskiej, m.in. w konkursach Global Coffee Awards, gdzie nagradzano jej kawy w różnych kategoriach. W 2024 r. zespół AC zwyciężył w prestiżowych zawodach roastingu w Paryżu.

Norweg rozwija biznes w swoim tempie. Bez inwestycji, bez presji skalowania, bez kompromisów jakościowych. Sørbotten wyznaje zasadę: jakość każdej filiżanki, bo nie chodzi o to, by robić więcej, ale by... robić dobrze.

„W praktyce oznacza to świadomą selekcję ziaren, ograniczoną skalę produkcji i wierność własnemu stylowi. To także prosta zasada: nie wypalać kawy, której samemu nie chciałoby się pić” - wyjaśnia Audun.

Można spróbować w Bydgoszczy

„Trafiłem do tej palarni trochę przez przypadek, zostałem jednak na dobre - w dużej mierze właśnie ze względu na Auduna, jego podejście do pracy, do ludzi i do życia. Każdy wypał kawy jest przez niego kontrolowany, regularnie sprawdzany podczas cuppingów (to profesjonalna degustacja kawy - red.) i do sprzedaży trafiają tylko te ziarna, które spełniają jego bardzo wysokie standardy. Myślę, że to podejście stoi nie tylko za nagrodami, ale też za tym, że klienci zostają z nami na lata” - mówi Krzysztof Szymanowski, wieloletni współpracownik palarni.

Sukcesy na arenie międzynarodowej pokazują, że Bydgoszcz staje się ważnym punktem na mapie światowej kawy specjalty. Produkty z bydgoskiej palarni trafiają do klientów w Polsce i za granicą. Można ich spróbować również na miejscu - w wybranych kawiarniach specjalty w Bydgoszczy. ©

Operacja bez prądu? Trzeba się przygotować

Agnieszka Romanowicz
agnieszka.romanowicz@polskapress.pl

Czy szpitale są przygotowane na wypadek braku zasilania? - Wobec zagrożenia wojną potrzeba ta nabrała szczególnego znaczenia - podkreśla NIK, która wykazała liczne nieprawidłowości.

Stary agregat w szpitalu w Chełmnie nie był regularnie uruchamiany, a zabezpieczenie w postaci urządzenia UPS obejmowało wyłącznie serwerownię lecznicy.

Blok operacyjny bez zabezpieczenia

Pomieszczenia o szczególnym znaczeniu dla bezpieczeństwa pacjenta, jak blok operacyjny, oddział intensywnej terapii, izba przyjęć oraz sale cięć cesarskich nie były wyposażone w urządzenia typu UPS ani inne rozwiązania zapewniające bezprzerwowe podtrzymanie zasilania - podaje NIK.

Dyrektor ZOZ w Chełmnie wyjaśniła, że nadzór nad poprzednim agregatem do końca 2022 r. sprawował zatrudniony przez ZOZ elektryk.

Przy przekazaniu obowiązków odchodzący wieloletni pracownik poinformował, że Szpi-



Szpitale są przygotowane na przerwy w zasilaniu energią elektryczną, ale nie wszędzie system działa bez zarzutu

tal nie dysponuje dokumentacją funkcjonującego agregatu i że należy kontynuować cotygodniowe rozruchy oraz prowadzić ich ewidencję w przekazanym zeszycie. Nie było możliwości kontaktu z producentem, gdyż firma już nie istniała - informuje NIK.

Szpital zatrudnił zewnętrzny podmiot, jednak od 1 lipca

2023 r. do 30 czerwca 2024 r. niezetelnie wykonywał obowiązki w tym zakresie.

Wobec braku UPS na bloku operacyjnym i sali cięć, dyrektor ZOZ wyjaśniła, że podjęto działania mające zabezpieczyć te obszary.

- Analizy parametrów sieci elektrycznych w salach operacyjnych i sali cięć zostały wyko-

nane w toku kontroli przez wyspecjalizowaną firmę - uzupełnia NIK.

Niedobór mocy w salach operacyjnych

W Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Toruniu system zabezpieczenia zasilania awaryjnego bloku operacyjnego dla szpitala dzieci i dorosłych był, ale za słaby.

Urządzenie UPS, które obsługiwało salę wybudzeń, salę przygotowania pacjenta oraz cztery sale operacyjne, dysponowało niewystarczającą mocą w stosunku do założeń projektowych. Niedobór mocy wynosił około 6 procent - uściśla NIK.

Dyrektor Szpitala wyjaśniła, że w ramach planowej przebudowy obiektów szpitala dla dzieci i dorosłych przewiduje się modernizację systemów elektroenergetycznych.

Kto organizuje prąd w Bydgoszczy?

Kontrola w Szpitalu Klinicznym przy ul. Szpitalnej w Bydgoszczy wykazała, że nie funkcjonowała w nim czytelna procedura postępowania w razie awarii prądu. Nie były wyznaczone osoby kierujące akcją ani czynności, które powinny podjąć konkretni pracownicy.

- Zdaniem NIK nagła utrata zasilania w takim obiekcie, jak szpital wymaga natychmiastowego i prawidłowo zorganizowanego działania, a każdy z pracowników powinien wiedzieć co w takiej sytuacji należy robić, kogo powiadomić i czyje polecenia wykonywać, dlatego zaniechania w tym zakresie NIK ocenia jako nierzetelne - podkreśla Izba.

Dyrektorka Szpitala zapewniła, że mają opracowany sposób postępowania na wypadek nagłej utraty prądu.

Niezależnie od tego, mając na uwadze racjonalność i zasadność pilnego sformalizowania procedury i osób odpowiedzialnych za poszczególne zadania, Szpital pracuje nad utworzeniem dokumentu przypisującego działania do konkretnych komórek organizacyjnych i stanowisk - podaje NIK.

Bydgoski szpital nie dysponował też danymi na temat zapotrzebowania na energię dla

bloku operacyjnego, zakładu hemodynamiki, sali cięć na oddziale położnictwa oraz wiedzy, w jakim stopniu zapotrzebowanie to zostało zapewnione.

Nie pozwalało to na rzetelną ocenę, czy bezprzerwowe zasilanie Szpitala jest zapewnione w wystarczającym stopniu - zauważa NIK.

Zastępca dyrektora lecznicy wyjaśnił m.in., że nie jest w stanie ustalić przyczyn braku dokumentacji.

Szczególnie ważne w czasie wojny

Szpitale są przygotowane na przerwy w zasilaniu energią elektryczną, ale jednak nie wszędzie system działa bez zarzutu - podsumowuje NIK

I podkreśla rangę problemu: - Awaryjne zasilanie szpitali jest zabezpieczeniem na wypadek m.in.: ekstremalnych zjawisk pogodowych i zmian klimatu, awarii infrastruktury, okresowych niedoborów mocy czy błędów operatorów przesyłowych. Wobec zagrożeń geopolitycznych w regionie Europy Środkowo-Wschodniej, potrzeba skutecznego zabezpieczenia szpitali na wypadek nagłej utraty zasilania nabrała szczególnego znaczenia. ©

Wobec zagrożeń geopolitycznych, potrzeba skutecznego zabezpieczenia szpitali w zasilanie nabrała szczególnego znaczenia.

Termy Uniejów świętują 18. urodziny!

NOWE OTWARCIE TERM UNIEJÓW

JUŻ 16 MAJA 2026

NA SCENIE WYSTĄPIĄ WYJĄTKOWI ARTYŚCI

W 2026 roku Termy Uniejów obchodzą swoje osiemnaste urodziny, a takich okazji do świętowania nie można przegapić. Już 16 maja swoje podwoje otworzy nowa letnia strefa rekreacji.

To wyjątkowe wydarzenie będzie doskonałą okazją do spędzenia niezapomnianego dnia wśród nowych atrakcji oraz relaksu w basenach i strefie saun.

Już od godz. 10.00 zapraszamy wszystkich miłośników wodnych przygód chętnych do odkrycia zupełnie nowych elementów. W ramach zakupionego biletu goście mogą korzystać z bogatej oferty basenów, strefy saun, nowej letniej części oraz wziąć udział w wyjątkowym koncercie, który umili ten niezwykły dzień.

Na scenie wystąpią znani i lubiani artyści dobrani tak, żeby trafić do każdej grupy. Patrycja Markowska, Julia Żugaj oraz zespół Zakopower - to oni uświetnią nowe otwarcie Term Uniejów. Muzyczne emocje potrwają do późnych godzin nocnych.

A jakie atrakcje czekają na naszych gości? Od września 2025 trwają prace nad zagospodarowaniem terenu oraz urzeczywistnieniem tego, co do tej pory można było oglądać tylko na wizualizacjach.

Nowa letnia część kompleksu, która zajmuje obszar prawie hektara w kierunku mostu na drodze krajowej nr 72, zapętnia się kolejnymi elementami i już 16 maja zaprezentuje się w pełnej krasie.

Wśród nowych atrakcji znajduje się flume ride, czyli kolejka wodna, która z pewnością dostarczy niezapomnianych wrażeń. To rodzaj atrakcji w parkach rozrywki, gdzie łódki poruszają się po torze z wodą, rozpędzając się gwałtownie, pokonując zjazdy i zakręty, kończąc zjazd wpadnięciem do wody.

Dla amatorów wodnych atrakcji powstał zespół nowych zjeżdżalni, które na pewno zachwycą fanów szybkich

MAJ 16 ————— 2026

TERM UNIEJÓW!
18
URODZINY

NOWE OTWARCIE
TERM UNIEJÓW!

NIE PRZEGAP DNIA PEŁNEGO ATRAKCJI!
Kup bilet specjalny i przeżyj niezapomniane chwile!

W CENIE:

KONCERTY
STREFA BASENOWA
STREFA SAUN
NOWA LETNIA
STREFA REKREACJI

WEJŚCIE OD 10:00
(MOŻLIWOŚĆ KORZYSTANIA ZE WSZYSTKICH ATRAKCJI)

START IMPREZY - 17:00
(koncerty) BAWIMY SIĘ DO PÓŁNOCY!

IMPREZĘ POPROWADZI Agnieszka Hyży

Miejsce: Kompleks termalno-basenowy
„Termy Uniejów” - NOWA LETNIA STREFA REKREACJI

W więcej informacji oraz bilety na:
termyuniejow.pl

Partnerzy wydarzenia:

Organizatorzy wydarzenia:

UNIEJÓW
Uzdrowisko Termalne

Termy
UNIEJÓW

„Termy Uniejów, znane z doskonałej jakości wód termalnych i relaksacyjnych stref, teraz wchodzi w nową erę rozrywki. Obchody 18. urodzin z pewnością będą wyjątkowe.”

chu przystosowane dla dzieci w wieku 4-11 lat, szutrowa nawierzchnia i mnóstwo zabawy.

To nie wszystko w temacie elektrycznych pojazdów. Mały zbiornik wodny znajdujący się na terenie, stał się miniaturowym portem, po którym pływać będą ekologiczne łódki elektryczne. Nasi Goście będą podziwiać krajobraz z perspektywy wody oraz korzystać z ogólnodostępnego pomostu.

Co dla starszych? Zewnętrzny klub fitness z profesjonalnym sprzętem, gdzie aktywności na świeżym powietrzu będą łączyć przyjemne z pożytecznym. Strefy: cardio, siły, zdrowe plecy, funkcjonalna oraz wolnych ciężarów, na pewno znajdą swoich amatorów.

W ramach inwestycji powstała duża strefa relaksu z plażą trawiastą wyposażoną w leżaki oraz zielony labirynt - idealne miejsce na rodzinną zabawę w chowanego. Żywopłoty w dwóch wysokościach, z mineralnymi ścieżkami w kolorze złoto-beżowym, dostępne są dla różnych grup wiekowych. Dla miłośników gier edukacyjnych prawdziwą gratką w tej strefie będą szachy terenowe - giganty. Na planszy 6x6 metrów, z metalowymi figurami zostaną rozegrane niejedne partie entuzjastów tego typu rozrywki.

Termy Uniejów, znane z doskonałej jakości wód termalnych i relaksacyjnych stref, teraz wchodzi w nową erę rozrywki. Obchody 18. urodzin z pewnością będą wyjątkowe.

zjazdów. Każda zjeżdżalnia to osobna przygoda.

A wśród nich:
- „Spiralny Tornado”
- „Wyścigowe Duo”
- „Adrenalina Max”
- „Family Fun”

Ogród wody - laboratorium zabawy i nauki to największa edukacyjna atrakcja nowej części kompleksu z eksponatami naukowymi, które pomogą zrozumieć wiele naukowych zjawisk. Czym jest wir wodny, jak

działa siła wody, jaka jest nasza waga w wodzie, jak zrozumieć siłę oceanu - to wszystko i wiele więcej w nowej strefie.

Dla najmłodszych Gości przygotowano także naukę jazdy

elektrycznymi minijeeпами, co z pewnością stanie się hitem wśród dzieci. Na małych kierowców czeka 25 elektrycznych jeepów, bezpieczny tor z zakrętami i rondem, jak prawdziwe miasteczko ru-

Bydgoszcz

Zdjęcia miasta zamiast szarych skrzynek

Opr. Adam Szczęśniak
adam.szczesniak@polskapress.pl

Większość pomysłów realizowanych w ramach Bydgoskiego Budżetu Obywatelskiego wzbudza aplauz, choć niektóre szczególnie. Na uznanie zasługuje właśnie jeden z nich - na Bartodziejach.

Tam właśnie szare, ponure skrzynki zasilająco-sterujące, które towarzyszą wielu miejskim inwestycjom, zostały przyozdobione historycznymi zdjęciami Bydgoszczy.

Na skrzynce przy skrzyżowaniu ulic Wyszyńskiego z Powstańców Wielkopolskich (obok Biedronki) z jednej strony zamieszczono zdjęcie mieszkańców pływających kajakiem po Bałatonie, z drugiej jest zdjęcie płynącej łabędziej rodziny. Z kolei w rejonie skrzyżowania Kamienna/Sułkowskiego można zobaczyć zdjęcie starej zabudowy Bydgoszczy.

Wcześniej, w 2024 r., w ramach pilotażu, w rejonie skrzyżowania Kamiennej z Wyszyńskiego na skrzynce ZDMiKP pojawiło się zdjęcie słynnego „mrówkowca” z Bartodziejów, charakterystycznego bloku z przełomu lat 60/70 XX wieku.

Inicjatywa sprzed dwóch lat spotkała się z zadowoleniem mieszkańców, którzy wskazali

podobne realizacje w ramach mikroprojektu Bydgoskiego Budżetu Obywatelskiego. Dostał on aż pół tysiąca głosów i został zgłoszony do realizacji.

Zdjęcia na szafkach sterowniczych to rozwiązanie, które wspólnie wypracowały miasto, plastyk miejski i przedstawiciele miejskich spółek. Pozwalają one lepiej wkomponować szafki, które do najbardziej urodziwych nie należą. Jest szansa, że zdjęć przybędzie, bowiem wypracowany wzorzec, jak donosi Bydgoszcz Informuje, Urząd Miasta przekazał miejskim spółkom.

„Wcześniej, w celu ukrycia dodatkowej infrastruktury sterująco-pomiarowej, stosowane były inne rozwiązania związane na przykład z zabudową z paneli lub zmianę kolorystyki skrzynek. Teraz zamiast standardowych, neutralnych obudów, skrzynki mają być oklejane archiwalnymi fotografiami, przedstawiającymi historię miasta i poszczególnych osiedli” - pisze BI.

Przypomnijmy, że w Bydgoskim Budżecie Obywatelskim mieszkańcy w głosowaniu bezpośrednio wybierają zadania, które trafią do realizacji w kolejnym roku. Na ten cel miasto zabezpieczyło w 2026 roku 16 mln zł.

©©



Zamiast szarej skrzynki, historyczne zdjęcie Bydgoszczy, co na pewno jest miłsze dla oka przechodnia

Oferty na dokończenie rozbudowy szpitala Bizziela okazały się zbyt duże

Jarosław Więclawski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

2 miesiące po otwarciu ofert przetargu na dokończenie rozbudowy i modernizacji Szpitala Uniwersyteckiego nr 2 im. dr. Jana Bizziela w Bydgoszczy pozostaje nierozstrzygnięty.

Rozbudowa szpitala trwa od wiosny 2021 roku. Miała potrwać do końca 2023, ale termin kilka razy wydłużano. W końcu rozwiązano umowę z wykonawcą, firmą Alstal. Początkowo prace wyceniano na 160 mln zł, ale później środki zwiększono o blisko 50 mln zł. To część większego projektu o wartości blisko 425 mln zł, z czego ok. 397 mln zł to pieniądze z budżetu państwa. Roboty wstrzymano w 2024 r.

Na początku sierpnia ubiegłego roku w wykazie prac legislacyjnych i programowych Rady Ministrów pojawił się projekt uchwały zmieniający uchwałę dotyczącą „Wieloletniego programu medycznego - rozbudowa i modernizacja Szpitala Uniwersyteckiego Nr 2 im. dr. Jana Bizziela w Bydgoszczy”. Zmiany wprowadzone są w zakresie zwiększenia wartości kosztorysowej inwestycji (w zakresie środków CM UMK), poziomu finansowania w poszczególnych latach oraz wydłużenia realizacji inwestycji do 2028 roku. Uchwałę przyjęto w grudniu.



Do czerwca powinna zapaść decyzja dotycząca kontynuacji rozbudowy szpitala

Pod koniec lutego otwarto oferty w przetargu na „Kontynuację budowy budynku przeznaczonego na cele medyczne oraz ładowiska wyniesionego dla śmigłowców LPR w ramach WPMRiMSU Nr 2 im. dr. Jana Bizziela w Bydgoszczy - zaprojektuj i wybuduj”. CM UMK planował wy-

Nowe Centrum Stomatologii Collegium Medicum UMK w pobliżu szpitala Bizziela ma być gotowe jesienią tego roku.

dać blisko 120 mln zł. Od momentu podpisania umowy wykonawca będzie miał 550 dni na realizację zadania. Oferty złożyły cztery podmioty. Najtańsza jest propozycja Budimexu - ok. 211 mln zł. Pozostałe ceny mieszczą się w przedziale od ok. 217 do 230 mln zł. Są za wysokie, więc zapytaliśmy UMK o kolejne kroki: ewentualne rozstrzygnięcie przetargu lub jego powtórzenie oraz kwestię dodatkowych środków na realizację inwestycji. - Trwa badanie alternatywnych możliwości finansowych. Termin związania ofertą upływa 25 czerwca 2026 roku - odpow-

wiada dr Ewa Walusiak-Bednarek z zespołu prasowego UMK.

Jesienią informowano, że budynek jest na etapie stanu surowego zamkniętego - wykonano konstrukcję, pokrycie dachu, elewację oraz ściany działowe. Zgodnie z planami otwarcie i rozpoczęcie funkcjonowania dobudowanej części szpitala powinno nastąpić w III-IV kwartale 2028 r.

W nowym obiekcie umiejscowione będą Oddział Anestezjologii i Intensywnej Terapii, Klinika Hematologii i Chorób Rozrostowych Układu Krwiotwórczego, Klinika Foniatrii i Audiologii z Oddziałem Otolaryngologii i Onkologii Laryngologicznej z Pododdziałem Chirurgii Szcękowej oraz Oddział Kliniczny Rehabilitacji.

Przewidziano też miejsce na salę audytorijną i sale dydaktyczne dla studentów CM UMK. Gmach pomieści 144 łóżka szpitalne.

W ramach inwestycji konieczne było również powstanie stacji transformatorowej, przebudowa wewnętrznej infrastruktury drogowej, a także wykonanie prac w istniejących budynkach, aby była możliwość połączenia z nowym skrzydłem szpitalnym.

W sąsiedztwie, przy szpitalu, trwa budowa Centrum Stomatologii CM UMK. Z nowego obiektu korzystać będą nie tylko studenci, lecz także mieszkańcy miasta. Planowana jest tam nocna i świąteczna opieka stomatologiczna. ©©

PESA ma szansę na budowę taboru dla Lizbony

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

Bydgoska PESA może dostarczyć pociągi dla metra w Lizbonie. Z przetargu wykluczono chińską firmę produkującą tabor kolejowy.

W 2027 roku w Lizbonie do użytku ma zostać oddana nowa linia metra „Violet”.

Przetarg na jej zaprojektowanie i wybudowanie zorganizowało Metro Lizbońskie, a najkorzystniejszą ofertę złożyło

konsorcjum Mota-Engil. Jednym z podwykonawców konsorcjum miała być firma Portugal CRR Tangshan Rolling Stock Unipessoal będąca portugalską filią CRRC Corporation Limited - chińskiej spółki państwowej, produkującej tabor kolejowy.

Przetarg nie mógł zostać rozstrzygnięty. Pojawiło się bowiem podejrzenie, że chiński producent otrzymał zagraniczne subsydia, dzięki czemu konsorcjum zyskało przewagę nad konkurentami.

Mota-Engil złożyło w tej sprawie zawiadomienie, powołując się na rozporządzenie sprawie subsydiów zagranicznych. Dochodzenie wszczęte przez Komisję Europejską potwierdziło wstępne ustalenia - spółka CRRC otrzymała subsydia, co „zapewniło konsorcjum nieuczciwą przewagę konkurencyjną, ze szkodą dla innych oferentów biorących udział w przetargu oraz integralności rynku wewnętrznego Unii Europejskiej” - podała w komunikacie Komisja Europejska.

W związku z tym Mota-Engil dokonała zmiany na liście podwykonawców - CRRC zostało zastąpione przez bydgoską PESĘ, a Komisja Europejska wyraziła zgodę na to, by konsorcjum wzięło udział w przetargu.

Jak potwierdza Maciej Grześkowiak, rzecznik prasowy PESY, zakłady przedstawiły już wstępną ofertę.

Nowa linia ma przewozić rocznie od 7,6 do 8,1 miliona pasażerów. Jak podała „Rzeczpospolita” chodzi o 12 składów. ©©

REKLAMA

0011489891

Sprawdź co się dzieje w regionie!
Odwiedź stronę www.kujawsko-pomorskie.pl
oraz profile społecznościowe województwa

#LubieTuByc

Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Urząd Marszałkowski
Województwa
Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu

Ochrona zabytków: dbamy o nasze dziedzictwo od lat



– Odrestaurowane zabytki są wynikiem naszej wspólnej pracy – podkreśla **marszałek Piotr Calbecki**. – Szczególne uznanie należy się właścicielom i zarządom, którzy na co dzień dbają o ich stan, chronią je przed zniszczeniem i podejmują starania o pozyskanie środków na ich utrzymanie. Potrzeby są wciąż duże, dlatego konsekwentnie wspieramy ich działania.

Od prac budowlanych poprzez remonty konserwatorskie po restaurację dzieł sztuki – samorząd województwa od 17 lat realizuje program ochrony kujawsko-pomorskich zabytków. Dotychczasowe wsparcie pozwoliło na realizację ponad 3 tysięcy projektów. Tylko w tym roku przeznaczaliśmy na ten cel ponad 15 mln złotych.

Wojewódzki program ochrony zabytków

- w tym roku dotacje umożliwią realizację 246 zadań na terenie całego regionu
- najwyższa dotacja 300 tys. złotych
- łącznie dofinansowanie 15,3 mln złotych
- program realizujemy od 2009 roku
- blisko 220 mln złotych przekazaliśmy dotychczas na realizację ponad 3 tys. projektów.

Najwyższe przekazane w tym roku wsparcie wyniosło 300 tysięcy złotych. Wśród 246 wybranych do dofinansowania zadań są prace konserwatorskie i restauratorskie w kościołach, w tym w świątyniach w niewielkich miejscowościach, kompleksach pałacowo-parkowych, kamienicach i zabytkowych gmachach instytucji.

Naszą aktywność w dziedzinie ochrony zabytków zauważyła Unia Europejska, która przyznała naszemu województwu prestiżowe wyróżnienie Europa Nostra.

W tym roku po raz piąty samorząd województwa przyzna medale Hereditas Saeculorum w konkursie „Dziedzictwo wieków” za szczególne osiągnięcia w dziedzinie konserwacji i restauracji zabytków. Zgłoszenia można składać do Urzędu Marszałkowskiego Województwa Kujawsko-Pomorskiego do końca kwietnia.

Dotacje, na które składają się środki unijne w ramach programu regionalnego Fundusze Europejskie dla Kujaw i Pomorza i środki budżetu województwa, umożliwią m.in.

- konserwację ołtarza bocznego św. Józefa w katedrze bydgoskiej
- wymianę posadzek w nawie głównej i w kaplicach oraz w pomieszczeniach pod chórem w XIX-wiecznym kościele śś. Apostołów Piotra i Pawła w Łążyńcu (w powiecie toruńskim)
- remont konserwatorski dachów kościoła św. Mikołaja Biskupa w Kowalewie Pomorskim (powiat golubsko-dobrzyński)
- konserwację empyry w kościele Narodzenia NMP w Wenecji (powiat zniński)
- prace konserwatorskie kaplicy św. Barbary w Toruniu
- remont dachu kościoła św. Jana Chrzyciela w Sadłowie (powiat rypiński)
- renowację Dworu w Steklinie (powiat toruński).



Dzięki programowi ochrony kujawsko-pomorskich zabytków odrestaurowany zostanie między innymi ołtarz boczny katedry bydgoskiej.

155 milionów na rozwój kujawsko-pomorskiej wsi

Trzynastcie umów na łącznie 3 mln złotych otrzymali pierwsi w naszym regionie beneficjenci Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej (PS WPR) 2023-2027. Rozdysponowane właśnie przez zarząd województwa środki są przeznaczone na małą infrastrukturę publiczną, w tym modernizację świetlic, budowę/modernizację placów zabaw i nowe publicznie dostępne urządzenia sportowo-rekreacyjne. W uroczystym spotkaniu z władzami trzynastu gmin – to właśnie gminy będą te projekty realizować – uczestniczyli wicemarszałek Aneta Jędrzejewska i członek zarządu województwa Dariusz Kurzawa.

– Bardzo leży nam na sercu, żeby wspierać małe ośrodki, żeby kujawsko-pomorska wieś piękniała. Te pieniądze uzupełniają wasze budżety, [pozwalają poszerzać] wasze plany inwestycyjne. Cieszę się, że nasza współpraca układa się w sposób perfekcyjny – powiedział otwierając spotkanie członek zarządu województwa Dariusz Kurzawa. Przypomniat, że poprzednie środki, które nasze woje-



Jednym z pierwszych beneficjentów PSWPR jest gmina Zbójno w powiecie golubsko-dobrzyńskim, która dzięki wsparciu zmodernizuje plac zabaw w Zbójnie. Umowę podpisały wójt gminy Katarzyna Kukielska i skarbnik Małgorzata Szewczykowska.

wództwo miało do dyspozycji na rozwój obszarów wiejskich, rozliczyliśmy finalnie w 103 procentach dołączając do puli środków niewykorzystane przez inne regiony.

– Tym co przyświeca zarządowi województwa jest to, żeby te pieniądze były blisko was i żeby zmieniały nasze małe ojczyzny. Bardzo się cieszę, że aplikujecie [o te środki], że dzięki temu powstają lub są modernizowane wiejskie świetlice, że wychodzą też naprzeciw potrzebom sportowym i rekreacyj-

nym mieszkańców małych miejscowości – podkreśliła w swoim wystąpieniu wicemarszałek Aneta Jędrzejewska.

Wśród pierwszych w naszym regionie beneficjentów PS WPR jest gmina Bytów w powiecie radziejowskim, która za blisko 200 tys. złotych przeprowadzi termomodernizację świetlicy w Niegibalicach. – Liczymy na więcej umów i deklarujemy się, że wszystkie pieniądze, które otrzymamy, ile by ich nie było, spożytkujemy dla naszych mieszkańców.

Wszystkie dotacje solidnie rozliczymy – powiedział, odbierając umowę, wójt gminy Artur Ruciński.

Na wdrażanie regionalnego komponentu PS WPR 2023-2027 (mechanizm Leader/Rozwój Lokalny Kierowany przez Społeczność, RLKS) województwo kujawsko-pomorskie ma do dyspozycji 36 750 tys. euro (155 mln złotych). Możemy je przeznaczyć na:

- budowanie lokalnej tożsamości opartej o aktywizację społeczną i wykorzystanie lokalnych zasobów;
- wdrażanie lokalnych strategii rozwoju przez Lokalne Grupy Działania (LGD), czyli m.in. wspieranie działalności gospodarczej, rozwój pozarolniczych funkcji gospodarstw rolnych, poprawę dostępu do infrastruktury publicznej, kształtowanie świadomości obywatelskiej, włączenie społeczne seniorów i młodych, ochronę dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego wsi, działania prowadzące do skrócenia łańcuchów dystrybucji żywności.

Z energią i pasją w klubach seniora

Zajęcia sportowe, warsztaty rękodzieła, nauka języków obcych, spotkania integracyjne, wyjazdy do kin i teatrów – na utworzenie klubów seniora i realizację projektów adresowanych do starszych

mieszkańców regionu przekazujemy z marszałkowskiego budżetu obywatelskiego łącznie 85 mln złotych. Granty są przyznawane za pośrednictwem lokalnych grup działań.



Zajęcia w klubie seniora Srebrna Energia Życia w Szubinie (powiat nakielski).

Projekty wspierające seniorów

dotychczas podpisano 317 umów na łączną kwotę 28,6 mln złotych
budżet na lata 2023-2029 wynosi 85 mln złotych
granty dla 850 klubów dla osób powyżej 60. roku życia
maksymalna wysokość grantu to 100 tys. złotych
źródłem finansowania jest nasz program regionalny Fundusze Europejskie dla Kujaw i Pomorza na lata 2021-2027

Wspomagają wszechstronny rozwój dzieci i młodzieży, pomagają rodzinom i szkołom

opr. Paweł Kaniak
pawel.kaniak@polskapress.pl

Wczoraj w Bydgoszczy odbyła się wojewódzka konferencja „Edukacja - w procesie zmian”, organizowana z okazji 60-lecia Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej nr 1 w Bydgoszczy.

Historia Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej nr 1 w Bydgoszczy rozpoczęła się w 1966 r. kiedy to w wyniku połączenia Poradni Społeczno-Wychowawczej TPD oraz Poradni Psychologicznej powołano - na mocy zarządzenia Ministra Oświaty i Wychowania - Miejską Poradnię Wychowawczo-Zawodową w Bydgoszczy z siedzibą przy ul. Sowińskiego 5. Do zadań poradni wówczas należało: kwalifikowanie dzieci z odchyleń i zaburzeniami rozwojowymi do odpowiednich form kształcenia specjalnego lub pomocy korekcyjno-wyrównawczej oraz preorientacja, orientacja i pośrednictwo zawodowe.

W 1974 r. poradnię przeniesiono na ul. Nakiełską 11. Rok



Konferencja z okazji 60-lecia Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej nr 1 w Bydgoszczy

później powstały: Wojewódzka Poradnia Wychowawczo-Zawodowa oraz Miejska Poradnia Wychowawczo-Zawodowa. W tym czasie placówka poszerzyła zakres swojej działalności o porady logopedyczne. W 1986 r. po raz kolejny poradnia zmieniła sie-

dzibę i przeniosła się ul. Obrońców Bydgoszczy 1.

W 1993 r. - na podstawie rozporządzenia Ministerstwa Edukacji Narodowej została zmieniona nazwa Miejskiej Poradni Wychowawczo-Zawodowej na Poradnię Psychologiczno-Pe-

dagogiczną Nr 1. Nazwa obowiązuje do dziś.

W 2013 r. poradnia przeniosła się na ul. Jana III Sobieskiego 10, aktualna siedziba znajduje się tuż obok pierwszej lokalizacji, czyli ul. Sowińskiego 5. Poradnia zatrudnia obecnie: pedagogów,

psychologów, logopedów, terapeutów SI, terapeutę Metody Krakowskiej, terapeutów Biofeedback, socjoterapeutów i mediatorów.

Poradnia Psychologiczno-Pedagogiczna nr 1 w Bydgoszczy jest placówką ogólnodostępną, otwartą na potrzeby społeczności lokalnej, ukierunkowaną na udzielanie pomocy psychologiczno-pedagogicznej dzieciom, młodzieży, nauczycielom, rodzicom (prawnym opiekunom). Zapewnia każdemu dziecku poczucie bezpieczeństwa, pomaga w odkrywaniu jego mocnych stron, w poznaniu właściwego stylu nauki i pracy. Specjaliści podpowiadają jak wykorzystać potencjał dziecka, by mogło ono efektywniej się uczyć. Psycholodzy, pedagodzy, logopedzi, doradcy zawodowi, lekarze realizują zadania placówki poprzez: działalność profilaktyczną, diagnozę, porady, konsultacje, mediacje, różne formy terapii, psychoedukację, interwencję kryzysową. Poradnia realizuje swoje zadania na terenie placówki, a także w szkołach i domach dzieci.

Kolejni dyrektorzy placówki od 1966 roku:

- Melita Lewandowska,
- Irena Urbańska,
- dr Barbara Kaja,
- Grażyna Trempała,
- Daniela Bierkowska,
- Maria Richter,
- Bożena Lemańska,
- Wanda Gredźuk,
- Barbara Markiewicz,
- dr Krzysztof Kultys.

W czwartek, 23 kwietnia, na Politechnice Bydgoskiej im. Jana Jędrzeja Śniadeckich w Bydgoszczy odbyła się wojewódzka konferencja „Edukacja - w procesie zmian”, organizowana z okazji jubileuszu 60-lecia Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej nr 1 w Bydgoszczy. Celem wydarzenia było przedstawienie najnowszych kierunków polityki edukacyjnej państwa, w szczególności w obszarze edukacji włączającej, pomocy psychologiczno-pedagogicznej, nowoczesnych modeli zarządzania oraz innowacji technologicznych w edukacji. W programie były wystąpienia przedstawicieli MEN, ekspertów akademickich i praktyków. ©©

AUTOREKLAMA

0111507251

25 kwietnia

FOCUS BYDGOSZCZ

**WIOSNA
W STYLU EKO**

WYMIENŃ ODPADY NA SADZONKĘ!

Akcja trwa od 11:00 do 16:00 lub do wyczerpania zapasów.
Do rozdania 1000 sztuk sadzonek kwiatów.

Szczegóły na expressbydgoski.pl/ekofocus

**JAK OTRZYMAĆ
SADZONKĘ?**

Przynieś ubrania*
lub makulaturę
w odpowiedniej
ilości:

1 SADZONKA
Od 1 kg do 2,99 kg

2 SADZONKI
Od 3 kg do 4,99 kg

3 SADZONKI
Od 5 kg do 6,99 kg

4 SADZONKI
Od 7 kg



***Oddawane ubrania muszą być czyste**

ORGANIZATOR

PARTNER LOKALIZACYJNY

PARTNERZY



Rusza 10. sezon Bydgoskich Klasyków. Pałac w Lubostroniu zaprasza na otwarcie

Jarosław Więclawski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

W ostatnią sobotę miesiąca, 25 kwietnia, wystartuje nowy sezon Bydgoskich Klasyków. Choć tego dnia zabyt-kowe pojazdy będzie można zobaczyć w Bydgoszczy, główne atrakcje, jak przed rokiem, zaplanowano poza miastem - na terenie przy pałacu w Lubostroniu.

Bydgoskie Klasyki Nocy odbywają się od 2017 roku. Na pierwszym spocie pojawiło się 30 samochodów, a dziś regularnie jest ich ok. 200. Nigdy nie ma nudy, bo każda impreza jest inna. Zawsze pojawiają się nowi goście i pojazdy.

- Pałac w Lubostroniu zaprasza na uroczyste rozpoczęcie sezonu Bydgoskich Klasyków. Przed nami już 10. sezon - piękny jubileusz, który warto uczcić w dobrym stylu, tak jak od lat - wśród klasycznej motoryzacji i wyjątkowej atmosfery - zapraszają organizatorzy, stowarzyszenie Bydgoskie Klasyki.

Przejazd z Bydgoszczy planowany jest o godzinie 9. Tradycyjnie samochody zbiorą się na parkingu pod Torbydem. Impreza w Lubostroniu rozpocznie się o godzinie 10 i potrwa do 15. Na miejscu będzie można zobaczyć klasyczne pojazdy, youngtimery czy samochody amerykańskie. Dla gości będzie otwarta restauracja pałacowa oraz punkty gastronomiczne. Nie zabraknie muzyki na żywo. Uczestnicy zlotu mogą za darmo zwiedzić pałac.

Wjazd odbędzie się główną bramą. Tam uczestnicy zostaną przywitani i otrzymają naklejki, które będą jednocześnie biletem wstępu na zwiedzanie pałacu. Po wstępnej weryfikacji, właściciele aut zostaną skierowani na odpowiednie parkingi:

- A - dla aut najciekawszych, wartych prezentacji;
- B - dla pozostałych pojazdów;
- C - przy restauracji, strefa PRL/Fiat 126p.

Goście będą mogli zaparkować w parku (wjazd od strony ulicy). W razie zapełnienia or-



FOT. DARIUSZ BLOCH

Na parkingu pod Torbydem zaplanowano 8 spotkań

ganizatorzy skorzystają z planu B - parkingu za główną bramą.

- Zapraszamy wszystkich - zarówno stałych bywalców, jak i nowych pasjonatów. Niech ten sezon zacznie się tak, jak dawniej - spokojnie, konkretnie i z szacunkiem do klasyki - zachęca stowarzyszenie.

Zloty na parkingu przy bydgoskim Torbydzie rozpoczyna się w maju. Tradycyjnie będą odbywały się w środy ok. godz. 19. Pierwsza okazja, aby zobaczyć klasyczne auta już 6 maja. Łącznie zaplanowano 8 spotkań, które odbędą się w następujących terminach:

- 27 maja;
- 17 czerwca;
- 8 i 29 lipca;
- 19 sierpnia;
- 9 i 30 września.

- Dotychczasowa formuła się sprawdza. Raczej nie planujemy zmian. Ludzie są zadowoleni - frekwencja cały czas dopisuje. Otwarta, niezobowiązująca formuła spotkań podoba się uczestnikom - mówi nam Robert Woźniak z Bydgoskich Klasyków.

- Z roku na rok się powiększamy i samochodów przybywa. Są naciski, aby obniżyć ustalone linie wiekowe. W tym roku na youngtimery to 1995, a już ci, którzy mają samochody z lat dwutysięcznych chcieliby się pojawiać - jakby nie było te auta też mają już 25 lat - dodaje.

Dziesiąty sezon to nie tylko spotkania na parkingu pod Torbydem. W planie jest kilka specjalnych wydarzeń. Warto śledzić profil Bydgoskich Klasyków, aby na bieżąco dowiadywać się o planach stowarzyszenia.

© ©

KRÓTKO

HANDEL

Pchli targ w Chmielnikach zamknięty. „Sobotnich giełd już nie będzie”.

Organizator pchlich targów w Chmielnikach poinformował za pośrednictwem mediów społecznościowych, że „sobotnich giełd już nie będzie”.

- Z przyczyn całkowicie od nas niezależnych, zmuszeni jesteśmy natychmiast i bezpowrotnie zakończyć naszą działalność - poinformowali organizatorzy pchlich targów. - To nie jest nasza decyzja. Zderzyliśmy się z sytuacją, na którą nie mamy żadnego wpływu i której nie jesteśmy w stanie przeskoczyć. Sobotnich giełd już nie będzie - dodali.

Nie podają oficjalnych powodów zakończenia działalności. Tymczasem urzędnicy z Nowej Wsi Wielkiej przekonują, że „targ funkcjonował na terenie prywatnym, a nie gminnym, dlatego jego zakończenie nie wynika z decyzji administracyjnej gminy”. Klienci oraz handlowcy korzystający z giełdy są zaskoczeni i rozgoryczeni. **DAN**

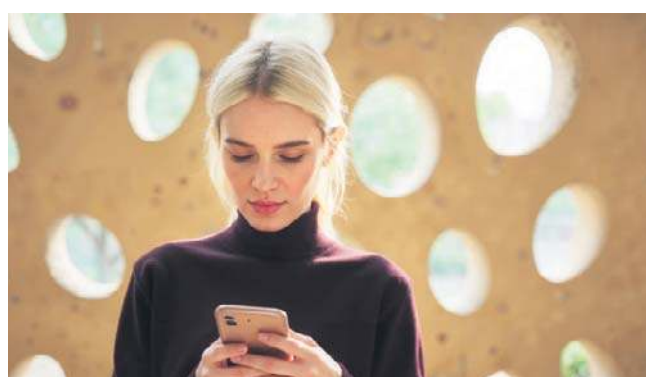
MATERIAŁ INFORMACYJNY T-MOBILE POLSKA

0011508267

Jak działa dezinformacja klimatyczna? Już nie zaprzecza zmianom klimatu

Debatą o klimacie coraz rzadziej dotyczy tego, czy zmiany klimatyczne faktycznie zachodzą, a coraz częściej odnosi się do tego, czy warto coś z nimi robić. I właśnie w tej przestrzeni panoszy się dziś dezinformacja klimatyczna. Nie krzyczy, nie zaprzecza nauce. Raczej zasiewa wątpliwości. Te z kolei mają swoją cenę - i to bardzo konkretną. Dlatego właśnie jednym z filarów działań na rzecz klimatu jest dziś walka z dezinformacją. Taki jest cel kampanii „Klimat bez fejków” stworzonej z okazji Dnia Ziemi.

Raport przygotowany przez UNEP/GRID-Warszawa, w ramach kampanii T-Mobile, nie pozostawia wątpliwości. Większość Polek i Polaków dostrzega, że zmiany klimatu są realnym zagrożeniem, jednak aż 52% z nich uważa, że wynikają one głównie z naturalnych procesów, mimo że naukowy konsensus mówi coś innego.



Ta rozbieżność nie wynika wyłącznie z braku wiedzy. To efekt funkcjonowania w środowisku informacyjnym, w którym fakty miesza się z opiniami, a interpretacje często zastępują dane.

Koszty dezinformacji

Dezinformacja rzadko daje gotowe odpowiedzi na zadawane pytania. Częściej wprowadza element niepewności, jednak i ona ma bardzo realne konsekwencje. Gdy nie jesteśmy pewni, czy transformacja energetyczna ma sens, odkładamy decyzje: o inwestycji w odnawialne źródła energii, o modernizacji domu, o zmianie

sposobu korzystania z energii. Podobnie działają firmy i instytucje - wstrzymują projekty, czekają na „lepszy moment”.

„To się nie opłaca” - mechanizm narracji kosztowej

Jedną z często stosowanych narracji w debacie o zmianach klimatu jest odwoływanie się do wysokich kosztów działań klimatycznych. Transformacja klimatyczna bywa w tym ujęciu przedstawiana jako proces kosztowny, obciążony ryzykiem i prowadzący do nierównomiernego rozłożenia obciążeń finansowych. Taki sposób komuni-

kowania koncentruje uwagę odbiorców na bezpośrednich wydatkach, z którymi mogą się oni łatwo utożsamić. W Polsce dyskusja na temat klimatu często odnosi się do kwestii takich jak rachunki za energię, koszty ogrzewania czy ceny paliw. W efekcie w mniejszym stopniu uwzględniane są koszty braku działań, które są trudniejsze do zauważenia, rozłożone w czasie i mniej jednoznacznie przypisywane konkretnym decyzjom lub zaniechaniom.

Erozja zaufania

Równie istotnym skutkiem dezinformacji jest spadek zaufania do naukowców i ekspertów. Choć 77% Polaków deklaruje zaufanie do nauki, jednocześnie wielu uważa, że naukowcy są zależni od swych źródeł finansowania. Podobny problem dotyczy instytucji publicznych i biznesu. W efekcie mamy sytuację, w której brakuje wiarygodnego punktu odniesienia. Każda informacja może zostać zakwestionowana. Jest to szczególnie groźne w obszarze, który wymaga długofalowego planowania i szerokiego poparcia społecznego.

Jak unikać dezinformacji? 5 porad

Czy da się samodzielnie demaskować dezinformację i zaprowadzić trochę porządku w informacyjnym chaosie? Jak najbardziej!

- 1.** Sprawdź źródło. Nie każda informacja w internecie jest rzetelna - nawet jeśli wygląda profesjonalnie. Zadaj sobie pytanie: „kto to opublikował? Czy to instytucja, naukowiec, czy ekspert, którego doświadczenia nie możesz potwierdzić?”. Jeśli nie możesz łatwo znaleźć autora lub organizacji - zachowaj ostrożność.
- 2.** Zatrzymaj się na chwilę. Dezinformacja działa na emocjach - szczególnie na złości, strachu lub oburzeniu. Jeśli coś wywołuje silną reakcję, to sygnał, żeby sprawdzić to dokładniej. Nie udostępniaj informacji od razu. Daj sobie minutę i ją sprawdź.
- 3.** Sprawdź datę i kontekst. Często prawdziwe informacje są używane w niewłaściwym kontekście. Zadaj sobie pytanie: „kiedy to się wydarzyło? Czy dotyczy tego samego kraju lub sytuacji?”. Stare dane i zdjęcia mogą wyglądać jak nowe.
- 4.** Szukaj więcej niż jednego źródła. Jeśli informacja jest prawdziwa, zwykle pojawia się w kilku wiarygodnych miejscach. Sprawdź, czy inne media lub instytucje potwierdzają tę informację oraz czy pojawiają się różne opinie ekspertów. Jedno źródło to za mało.
- 5.** Uważaj na proste odpowiedzi na złożone problemy. Zmiana klimatu to złożony temat - jeśli ktoś oferuje jedną prostą przyczynę lub jedno proste rozwiązanie, warto zachować ostrożność. Sygnały ostrzegawcze: „To wszystko wina jednej rzeczy”, „Nikt wam tego nie powie”, „To ukrywana prawda”.

Dowiedz się więcej na stronie **klimatbezfejkow.pl**

Dino jutro dwie godziny stoi?

Agnieszka Romanowicz
agnieszka.romanowicz@polskapress.pl

W sobotę 25 kwietnia 2026 r. pracownicy marketów Dino na dwie godziny wstrzymają się od pracy. To strajk ostrzegawczy przed kolejną rundą mediacji związków zawodowych z zarządem Dino. Pracownicy apelują o osobiste zaangażowanie prezesa. - Unikanie bezpośredniego dialogu odbieramy jako przejaw braku gotowości do rozwiązania sporu oraz brak szacunku do swojej załogi, która ciężko pracuje, czego efektem jest pana bogactwo - dodają.

OPZZ Konfederacja Pracy informuje o strajku ostrzegawczym 25 kwietnia w godz. 12 - 14 w sklepach Dino w całej Polsce.

- Twa spór zbiorowy z zarządem Dino Polska S.A., którego głównymi postulatami są wzrost wynagrodzeń o 900 zł, utworzenie zakładowego funduszu świadczeń socjalnych oraz wzrost zatrudnienia - wyjaśniają.

PIP sprawdziła temperaturę w Dino

Chcą też zwrócić uwagę na poważne problemy występujące w spółce:



FOT. RADOŚLAW DIMITROW

Sieć Dino ma 3094 sklepy, 62 nowe powstały w pierwszym kwartale 2026 r. W 2025 r. przychody ze sprzedaży Grupy Dino wyniosły 33,6 mld zł i były o 14,9 proc. wyższe niż w 2024 r.

- Nie funkcjonują podstawowe mechanizmy ochrony pracowników, w tym obowiązkowa procedura antymobbingowa. Monitoring - zamiast służyć ochronie mienia - wykorzystywany jest do nadmiernej kontroli pracowników. Alarmują nas o stosowaniu presji na liczbę zeskanowanych produktów na minutę.

Związek przypomina, że zimą pracownicy Dino musieli pracować w bardzo niskich temperaturach, co zgłosili do inspekcji pracy.

15 kwietnia br. problem ten był omawiany na posiedzeniu

podkomisji stałej do spraw rynku pracy. Ewa Siekierska, dyrektorka departamentu prawnego w Głównym Inspektoracie Pracy poinformowała, że przeprowadzono 461 kontroli i wydano 136 decyzji dotyczących zbyt niskiej temperatury w pomieszczeniach, 24 decyzje w związku z niezabezpieczeniem kasjerów przed napływem chłodnego powietrza, 7 decyzji dotyczących niezapewnienia ogrzewania w pomieszczeniach higieniczno-sanitarnych oraz 6 decyzji z powodu niezapewnienia odzieży chroniącej przed zimnem.

To ma być kara dla najbogatszego Polaka?

Podkomisja obradowała nad przestrzeganiem praw pracowniczych w ogólnopolskich sieciach handlowych w ogóle, nie tylko w Dino. Kontrola PIP ujawniła w nich 182 przypadki łamania tych praw, z związku z czym na 26 osób nałożono grzywny na łączną kwotę 31 tys. zł. Skierowano również 8 wniosków do sądu.

- Nasz prezes pęka ze śmiechu, bo wydaje tyle na kolację - komentują pracownicy Dino.

- Wzywamy pana do podjęcia rzeczywistego dialogu oraz do traktowania pracowników jako fundamentu funkcjonowania przedsiębiorstwa a nie zasobu podlegającego maksymalnej eksploatacji - apeluje Konfederacja Pracy i domaga się od zarządu Dino osobistego zaangażowania w kolejną rundę mediacji, która odbędzie się 27 kwietnia w Centrum Partnerstwa Społecznego „Dialog” w Warszawie. - Unikanie bezpośredniego dialogu odbieramy jako przejaw braku gotowości do rozwiązania sporu oraz brak szacunku do swojej załogi, która ciężko pracuje, czego efektem jest pana bogactwo - dodaje. ©©

Żołnierze WOT w czasie szkolenia w Borach Tucholskich odnaleźli zagubione osoby

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

W czasie kursu Naziemnych Zespołów Poszukiwawczo-Ratowniczych, szkoleni żołnierze WOT w późnych godzinach wieczornych odnaleźli dwie zagubione osoby.

Naziemne Zespoły Poszukiwawczo-Ratownicze (NZPR) to jeden z elementów systemu zarządzania kryzysowego realizowanego w WOT. Ich głównym zadaniem jest niesienie pomocy w sytuacjach awarii statków powietrznych, odnalezienie i zabezpieczenie miejsca awarii jak i udzielenie pomocy osobom poszkodowanym. Swoją wiedzę i umiejętności ratownicy z NZPRów zdobywają między innymi na kursach realizowanych w Centrum Szkolenia Wojsk Obrony Terytorialnej.

Ostatnie takie szkolenie CSWOT zrealizowało w dniach 13-17 kwietnia br., a jego uczestnikami było kilkudziesięciu żołnierzy z terenu całego kraju. W czasie zajęć żołnierze poznawali zasady organizacji poszukiwań, nawiązywania łączności, udzielania pierwszej pomocy, ale także naprowadzania i współ-

pracy ze śmigłowcem, który w szybki sposób może podjąć i przetransportować potencjalne osoby poszkodowane.

- W czasie, kiedy w dniu 15 kwietnia br. w późnych godzinach wieczornych realizowaliśmy z kursantami część praktyczną związaną z poszukiwaniem osób zaginionych w terenie, otrzymałam nagły meldunek o odnalezieniu przez jeden z zespołów dwóch pań, które zagubiły się w terenie. Nasi kursanci natychmiast udzielili pomocy zagubionym, a następnie po przeprowadzeniu wywiadu medycznego przez naszego ratownika podjęta została decyzja o przetransportowaniu pań do pobliskiego miejsca ich zakwaterowania - mówi nam por. Marta Janik-Jaworska kierownik kursu NZPR w CSWOT.

Dwie panie, które postanowiły pobiegać w nieznany dla nich teren w Borach Tucholskich, miały bardzo dużo szczęścia, że akurat w tym regionie odbywały się ćwiczenia terytorialsów. Gęsty las, późne godziny wieczorne, niesprzyjające warunki atmosferyczne oraz awaryjność posiadanej przez nich elektroniki mogły bowiem doprowadzić do tragedii. ©©

AUTOREKLAMA

0411510314

DO UDZIAŁU W KONKURSIE ZAPRASZA
marszałek Piotr Ciałbecki

TU JEST SUPER, TU PATRZYMYS W GWIAZDY!

Lubisz obserwować nocne niebo?
Znasz historię eksploracji Kosmosu?
Wiesz, kim był Mikołaj Kopernik
i co wspólnego ma z gwiazdami?

W takim razie koniecznie
weź udział w **astronomicznym
konkursie plastycznym**
Urzędu Marszałkowskiego
Województwa Kujawsko-
Pomorskiego w Toruniu.

PRZYŚLIJ NAM PRACĘ NA WYBRANY TEMAT:

**BAZA
NA KSIĘŻYCU**

- pokaż nam, jak Twoje
miasto lub wieś mogłyby
wyglądać w przyszłości

TECHNIKA DOWOLNA
FORMAT MAKS. A3

**WSTRZYMAŁ SŁOŃCE,
RUSZYŁ ZIEMIĘ**

- stwórz komiks
o Mikołaju Koperniku

TECHNIKA DOWOLNA
FORMAT MAKS. A3

**KUJAWY
POMORZE**

DO WYGRANIA: karty podarunkowe do sklepów sieci Smyk o wartości od 250 do 1000 złotych!

WAŻNE! W konkursie mogą wziąć udział dzieci w wieku od 5 do 10 lat.
Regulamin i formularz zgłoszenia pod adresem: expressbydgoski.pl/tujestsuper

**NA PRACĘ CZEKAMY
DO 28 MAJA 2026 ROKU**

ORGANIZATOR



PARTNER



Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Urząd Marszałkowski
Województwa
Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu



Pawbeats, królewski korowód, nowa piosenka o mieście i piknik

Małgorzata Pieczyńska
Jarosław Więclawski

W Bydgoszczy trwają obchody 680. rocznicy nadania praw miejskich. W tym roku z okazji urodzin zaplanowano szereg wydarzeń. Punktem kulminacyjnym obchodów będzie koncert Pawbeats Orchestra, który odbędzie się w niedzielę, 26 kwietnia, na Starym Rynku. Moc atrakcji czeka na Bydgoszczan podczas „Pikniku Kazimierza Wielkiego”, który w sobotę, 25 kwietnia, odbędzie się na Wyspie Młyńskiej. Warto wybrać się całymi rodzinami. Nie zabraknie dobrej zabawy, kreatywnych warsztatów i występów artystycznych.

Bydgoszcz swoje prawa miejskie uzyskała 19 kwietnia 1346 roku z nadania króla Kazimierza Wielkiego. Urodziny w mieście świętowane są co roku, ale z uwagi na to, że w tym roku jest to okrągła rocznica, obchody nie ograniczają się do jednego dnia, a trwają ponad tydzień. Do tej pory odbyła się m.in. „Feta na Spichlernej”, Bydgoski Bieg Urodzinowy czy urodzinowa sesja Rady Miasta Bydgoszczy w Akademii Muzycznej.

W piątek (24 kwietnia) o godzinie 10 w sali widowiskowej Pałacu Młodzieży rozpocznie się Koncert Galowy z okazji 680. urodzin Bydgoszczy. W programie widowiska znajdą się prezentacje laureatów konkursu wokalnego i kompozytorskiego z bydgoskich szkół i placówek oświatowych, a także występy zespołów tanecznych z PM. Dodatkowo goście usłyszą premierowe wykonanie piosenki „Chodźmy, chodź po Bydgoszcz” (muzyka Piotr Salaber, tekst Szymon Jachimek).

Tego samego dnia w samo południe szkolne koła Towarzystwa Miłośników Miasta Bydgoszczy zapraszają na Królewski Korowód. Młodzież w historycznych strojach przemaszeruje spod ratusza, pod pomnik Króla Kazimierza Wielkiego, gdzie zaprezentuje inscenizację nadania praw miejskich.

Warto przypomnieć, że szkolne koła TMMB działają w następujących placówkach:

- Szkoła Podstawowa nr 2 im. Adama Mickiewicza z Oddziałami Sportowymi. Opiekunowie: Violetta Adamowska,
- Szkoła Podstawowa nr 10 im. Jana Kochanowskiego z Od-



Gdy zaczynały się obchody urodzin Bydgoszczy tak uczniowie IV LO świętowali 680. rocznicę nadania praw miejskich Bydgoszczy i 716. rocznicę urodzin króla Kazimierza Wielkiego. Dziś ulicami od bydgoskiego ratusza pod pomnik przejdą młodzi Bydgoszczanie

działami Sportowymi. Opiekunowie: Piotr Borkowiak,

- Szkoła Podstawowa nr 14 im. gen. Władysława Sikorskiego. Opiekunowie: Wiesława Majchrzak, Grażyna Marolewska,
- Szkoła Podstawowa nr 18 im. Hansa Christiana Andersena z Oddziałami Integracyjnymi. Opiekunowie: Hanna Bokiej,
- Szkoła Podstawowa nr 20 im. ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego z Oddziałami Integracyjnymi. Opiekunowie: Arleta Kempa,
- Szkoła Podstawowa nr 25 im. Synów Pułku. Opiekunowie: Marlena Dera-Rydyńska, Anna Dzierżykaj-Lipowicz, Agnieszka Górzyńska,
- Szkoła Podstawowa nr 38 im. Zdobywców Wału Pomorskiego. Opiekunowie: Renata Wardowska, Lucyna Tomaszewska, Jacek Jercha,
- Szkoła Podstawowa nr 56 im. Arkadego Fiedlera z Oddziałami Integracyjnymi. Opiekunowie: Anna Gorlewska,
- Szkoła Podstawowa nr 57 im. Towarzystwa Miłośników Miasta Bydgoszczy. Opiekunowie: Hanna Jankowiak,
- Szkoła Podstawowa nr 60 im. Huberta Wagnera z Oddziałami Sportowymi i Mistrzostwa Sportowego. Opiekunowie: Bożena Dura,
- Szkoła Podstawowa nr 66 im. Misji Pokojowych ONZ z Oddziałami Sportowymi. Opiekunowie: Arleta Rojowska, Krystyna Kuligowska,
- XI Liceum Ogólnokształcące im. Bydgoskich Olimpijczyków Mistrzostwa Sportowego. Opiekunowie: Jerzy Bartelak,
- ZS nr 31. Opiekunowie: Ewa Karwacka, Danuta Nowak,
- SOSW nr 3. Opiekunowie: Marek Przekwasiński, Maciej Tomaszewski, Sławomir Kariski,

● Branżowa Szkoła I stopnia nr 6. Opiekunowie: Jagna Snopko.

Muzyczny finał

Zakończenie urodzinowego tygodnia w niedzielę na Starym Rynku. O godzinie 20.00 wystąpi Pawbeats Orchestra i goście.

- Myślę, że nikomu nie trzeba go przedstawiać. Marcin jest naszym lokalnym ambasadorem, występuje w wielu miejscach naszego kraju, a jego koncerty ściągają tysiące widzów. Z okazji urodzin wystąpi na darmowym koncercie dla naszych mieszkańców - zapowiada Łukasz Krupa, zastępca prezydenta Bydgoszczy.

Kto pojawi się na scenie obok Marcina Pawłowskiego, producenta muzycznego i artysty pochodzącego z Bydgoszczy? To pozostaje niespodzianką.

Piknik jutro od 13.

Na piknik zapraszają Uniwersytet Kazimierza Wielkiego wspólnie z Miastem Bydgoszcz oraz wieloma partnerami.

- Razem uczymy 20-lecie Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego i 680. urodziny Bydgoszczy - informuje Joanna Sikora, rzeczniczka UKW. - Przygotowaliśmy bogaty program. W czasie pikniku będą działały specjalne strefy, w których każdy z pewnością znajdzie coś dla siebie.

Całość rozpocznie się o godz. 13. Na stoiskach, które czynne będą do godz. 18, zaprezentują się uniwersyteckie wydziały, a także miejskie instytucje i służby.

Dla dzieci i dorosłych

W Strefie Nauki nie zabraknie fascynujących pokazów

technologii przyszłości. Zostaną też zaprezentowane innowacyjne systemy sterowania myślą. Na uczestników czeka też nie lada atrakcja. Będzie można wziąć udział w grze decyzyjnej i przez chwilę zostać prezydentem miasta.

Na stoisku dziennikarskim Instytutu Komunikacji Społecznej i Mediów każdy będzie mógł sprawdzić, jaką siłę ma jego głos, odbędzie się też prezentacja prac studentek nagrodzonych w ogólnopolskim Konkursie Artystycznych Form Radiowych.

W Strefie Nauki będą też, m.in. porady prawne i kryminalne zagadki - to propozycja Wydziału Prawa i Ekonomii UKW. Wydział Językoznawstwa, a konkretnie Katedra Skandynawistyki przygotowuje warsztaty literatury dziecięcej krajów skandynawskich. Do „Experymentarium” na pokazy i eksperymenty z fizyki zaprasza z kolei Wydział Fizyki. Jedną z propozycji Wydziału Nauk Geograficznych będzie spotkanie „Raz na wodzie, raz pod wodą” - pokaz sprzętu wodnego, w tym, m.in., drona River Explorer. Atrakcji w Strefie Nauki szykuje się znacznie więcej.

Sporo będzie się też działo w Strefie Małego Naukowca, czyli kreatywnej przestrzeni dla dzieci z programowaniem robotów i warsztatami projektowania. Tu odbędą się, m.in., warsztaty projektowania okładek - „Książka zaczyna się od okładki”, logiczne gry edukacyjne, zagadki matematyczne. W programie też mini targi pracy dla dzieci, pokazy innowacyjnych pomocy dydaktycznych czy malowanie kamieni jubileuszowych.

Na finał pikniku zaplanowano koncert zespołu Koda

W Strefach Zdrowia i Bezpieczeństwa zaplanowano bezpłatne badania i porady specjalistów oraz pokazy sprzętu służb mundurowych, np. pokaz sprzętu i wyposażenia strażackiego. Radiowozy, quady policyjne i motocykle zaprezentują z kolei KWP i KMP w Bydgoszczy. Na swoje stoiska zapraszają też Krajowa Administracja Skarbowa, Straż Miejska oraz Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, Związek Harcerstwa Polskiego i Centrum Powiadomiania Ratunkowego.

W programie pikniku także inspirujące prelekcje: popularnonaukowe wykłady ekspertów o tajemnicach Bydgoszczy i podstawach inwestowania. W Strefie Partnerów staną natomiast, m.in., królewski namiot IV LO im. Kazimierza Wielkiego, czy stoisko Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy.

Całość dopełnią występy na scenie. Przez cały dzień będą wspólne lekcje tańca. Gościnnie wystąpi też zespół „Młode Podhale” z Nowego Targu oraz kaszubski Zespół Pieśni i Tańca „Bytów” z Bytowa. Ich obecność na pikniku ma też ważne uzasadnienie. Miasta te, podobnie jak Bydgoszcz, obchodzą w tym roku swoje 680. urodziny. O godz. 16 oficjalne życzenia złożą mieszkańcom rektor UKW, prof. dr hab. Bernard Mendlik oraz władze Miasta Bydgoszczy. Na wielki finał zaplanowano o godz. 18 koncert zespołu Koda z Wydziału Edukacji Muzycznej UKW.

Szczegółowy program pikniku znajduje się na stronie internetowej UKW.

©©

KALENDARIUM BYDGOSKIE

24 kwietnia
Król Kazimierz Jagiellończyk opuszcza zamek bydgoski

1457: Bydgoszcz opuścił przebywający tu przez ponad dwa tygodnie król Kazimierz Jagiellończyk. Rozpatrywał on w czasie pobytu na zamku sprawy związane z wynagrodzeniem dla zaciężnych wojsk krzyżackich, którzy sprzedali Polsce zamek i miasto Malbork.

1887: w sali hotelu „Royal” przy pl. Teatralnym wystąpiła objazdowa trupa aktorska z udziałem m.in. Gabrieli Zapolskiej.

1920: założony został oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Bydgoszczy.

1928: Towarzystwo Upiększania Miasta rozstawiło na głównych ulicach Bydgoszczy pierwszych kilka-
naście „koszy do papieru”, czyli pojemników na śmieci.

1936: uruchomiona została nowa linia tramwajowa długości 1100 m na Biełławki od skrzyżowania ul. Gdańskiej z ul. Chodkiewicza do skrzyżowania z ul. Lelewela.

1949: zapadła decyzja o budowie w ciągu dwóch lat nowego stadionu Gwardii z torem żużlowym i boiskiem lekkoatletyczno-piłkarskim o powierzchni na 35 tys. widzów na wolnym terenie w rejonie ulic Dwernickiego i Małachowskiego. Obok stanąć miała hala na 5 tys. widzów, a także basen o wymiarach olimpijskich i korty tenisowe. Plan nigdy nie został zrealizowany.

1998: premier Jerzy Buzek wręczył Teresie Piotrowskiej nominację na stanowisko wojewody bydgoskiego.

1998: w nocy w budynku przy ul. Hetmańskiej, gdzie mieściła się m.in. Stacja Hodowli Zwierząt, dokonano włamania i zabójstwa nocnego stróża. Sprawcy nigdy nie ujęto.

2000: starszy sierżant z Komendy Miejskiej Policji na ul. Jagiellońskiej, jadąc skodą felicią z szybkością ok. 100 km na godz. potrafił pieszego, który zginął na miejscu. Kierowca odjechał z miejsca zdarzenia, a następnie, usiłując zatrzeć ślady, spalił swój samochód w lesie pod Solcem Kuj. Zatrzymany został w mieszkaniu swojego kolegi, strażnika miejskiego. ©© **KB**



Jarosław Reszka

MINAŁ TYDZIEŃ NIKT Z ŻOŁNIERZY NIE ZGŁOSIŁ KONTAKTU Z ŻABĄ

W poprzednim felietonie uraczyłem Państwa opowiastką o biolożce, pani Basi i jej akcji w obronie żab w myślęcimskim leśnym parku, które w okresie godowym musiały zmierzyć się ze sporą grupą żołnierzy. Otóż w ostatni weekend marca, gdy żaby prokreowały się, w ich sąsiedztwie wojacy ścigali się w najlepsze (?) na trasie biegu przełajowego. Poruszona tym obrazkiem biolożka doniesienie zamieściła w aplikacji mObywatel, w zakładce „Naruszenia środowiskowe”. Dziś opowiem o losach tego dokumentu.

mObywatel wypalił dość szybko, choć niezbyt celnie. Za jego przyczyną doniesienie trafiło do Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Bydgoszczy. Inspektorat uznał jednak, że podjęcie tematu nie leży w jego kompetencjach i sprawę skierował do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska. Ale i tam doniesienie nie znalazło swojej szufladki (od sygnalistki domagano się dowodów na złamanie prawa). Urzędniczy ping-pong zakończył się w Urzędzie Miasta Bydgoszczy. A w imieniu samorządu odpowiedź petentce wypychał



Przełajowe zawody pomiędzy Centrum Edukacji Ekologicznej i strefą ochronną żab

dyrektor generalny Leśnego Parku Kultury i Wypoczynku.

Pismo z parku, mające w nagłówku sformułowanie: „Odpowiedz na wniosek o udzielenie informacji publicznej”, uzupełnia adnotacja tyleż groźna, co absurdalna: „Informacje zawarte w tym liście i/lub załączonym dokumencie są przeznaczone jedynie dla użytkowników wymienionych powyżej i mogą zawierać informacje poufne, które nie mogą być ujawniane. Jeśli otrzymałeś/otrzymałaś wiadomość przez pomyłkę lub z innego powodu to proszę o poinformowanie mnie o tym fakcie. W takim przypadku zostajeś/zostaniesz poinformowany/poinformowana, że zabronione jest czytanie i ujaw-

nianie informacji zawartych w tym liście w jakiegokolwiek formie komunikacji”.

Z jaką więc informacją mamy tu do czynienia: publiczną czy poufną? Co w historii o żabach i biegaczach może być poufnego? Czyżby to, że biegali żołnierze? A może - doszła do wniosku adresatka - chodziło o to, by zamknąć jej usta. By znów nie poszła z tą sprawą do pismaków. Jeśliby taki miał być cel urzędniczej adnotacji, to na panią Basię straszak nie zadziałał. Dzięki temu ja, a za moim pośrednictwem Czytelnicy możemy mieć wgląd w treść publiczno-poufnego dokumentu.

Czytelników od razu jednak rozczaruję. Nie zacytuję dokumentu. Ale nie dlatego, że zna-

lałem w nim coś poufnego. Wręcz przeciwnie - nie cytuję, bo odpowiedź parku jest długa, nudna i banalna. Zawiera cztery punkty. W pierwszym znajdujemy potwierdzenie tego, że od 24 do 26 marca w parku odbywały się biegi o randze mistrzostw, a startowali w nich żołnierze formacji, w której szybko nogi są szczególnie ważne - żandarmerii. W przełajach wzięło udział około 70 żandarmów.

W drugim punkcie znalazła się informacja o tym, iż osoba odpowiedzialna za organizację zawodów została powiadomiona, że w stawie obok Centrum Edukacji Ekologicznej właśnie mnożą się płazy i wymaga to szczególnej ostrożności ze strony przebywających nad sta-

wem ludzi. W punkcie trzecim pada uwaga, że jest to miejsce publiczne i władze parku dokładają wszelkich starań, by pogodzić funkcję rekreacyjną tego obszaru z ochroną przyrody. Wreszcie punkt czwarty zawiera zapewnienie, że park współpracuje z Urzędem Miasta Bydgoszczy w zakresie ochrony płazów.

Czytając wyjaśnienia, w pierwszej chwili można więc pomyśleć, że nie wydarzyło się tu nic, co byłoby sprzeczne z prawem i normami sąsiedzkiego współżycia żab i ludzi. Po namyśle wszakże rodzi się fundamentalna dla tej sprawy wątpliwość: czy zawody przełajowe z udziałem 70, za przeproszeniem, młodych byczków musiały odbyć się akurat w tym miejscu i o tej porze roku? I jak walczący o biegowy prymat żandarmi zachowywali „szczególną ostrożność” w związku z żabami?

W jednym z załączników, którego nadawcą jest organizator mistrzostw - Oddział Żandarmerii w Bydgoszczy, znalazłem szczególnie smaczne stwierdzenie: „Żaden z uczestników nie zgłaszał faktu kontaktu ze zwierzętami podlegającymi ochronie we wskazanym miejscu”. Gdyby żandarmi biegali w buszu wśród słońi i lwów, byłaby to istotna uwaga. Któż jednak w ferworze sportowej walki zwrócił uwagę na to, że po drodze rozdeptała ścieśloną chronioną żabę moczarową Rana arvalis? ©©



Ryszard Tadeusiewicz, profesor AGH

POLSCY INŻYNIEROWIE I NAUKOWCY ZA WIELKĄ WODĄ

Niezależnie od tego, co myślimy na temat Ameryki (a wśród moich Przyjaciół są zarówno gorliwi entuzjaści, jak i zagorzali przeciwnicy), trzeba przyznać, że postęp w nauce i technice w dużej mierze powstawał właśnie w USA i Kanadzie. Podziwiając i doceniając ten postęp, powinniśmy pamiętać, że twórcami wielu osiągnięć byli - między innymi - także nasi rodacy. Pozwolę sobie w moim felietonie przypomnieć niektórych z nich.

Nie będą wracał do osiągnięć Tadeusza Kościuszki, który w latach 1776-1784 stworzył w USA wiele budowli o przeznaczeniu wojskowym, bo pisałem o nim wielokrotnie. Dostatecznie znany (choć nie tak bardzo jak Kosiński), jest Erazm Jerzma-

nowski, współtwórca amerykańskiego gazownictwa. Po zdobyciu ogromnego majątku w USA wrócił on do Polski i stworzył wiele fundacji wspierających między innymi Polską Akademię Umiejętności. Mój artykuł o tym wspaniałym inżynierze, uczonym, mecenasie oświaty, nauki i kultury znaleźć można w moim artykule pod żartobliwym tytułem „Polak jako pan na gazie”.

Przedmiotem mojego felietonu był także Tadeusz Sendzimir, wybitny metalurg, którego wynalazki dokonane głównie w USA uczyniły go jednym z czołowych konstruktorów walcarek na świecie. Pisałem o nim w felietonie „Ten od Huty” publikowanym w „Gazecie Krakowskiej”.

Nie będę kontynuował tej wyliczanki, ale pozwolę sobie odnotować, że w moich felietonach przypominałem Państwu osiągnięcia Rudolfa Modrzejewskiego (syna tej sławnej aktorki), który zasłynął w USA jako inżynier, budowniczy wielkich mostów stalowych i pionier nowoczesnych mostów wiszących, dokonania Mieczysława Bekkera, budowniczego samochodów, które jeździły po Księżycu, konstrukcje radiotelefonów przenośnych (walkie-talkie) Mieczysława Magnuskiego.

Natomiast dokonując przeglądu dokonań naszych rodaków za oceanem, wykryłem, że prawie nikomu w Polsce nie jest znana sylwetka Kazimierza Gzowskiego, który był pionierem budowy kolei w Kanadzie. Postanowiłem więc o nim przypomnieć.

Znalazł się on w 1834 roku w Ameryce, deportowany przymusowo z Europy przez władze austriackie, które internowały go po upadku powstania listopadowego, w którym Gzowski uczestniczył i był ranny pod Grochovem. Alternatywą deportacji do USA było deportowanie z powrotem do „kongresówki”, a to oznaczało zesłanie na Sybir, więc Gzowski długo się nie zastanawiał.

W USA nie miał żadnego zawodu, więc początkowo utrzymywał się z nauki szermierki. Szybko jednak wymyślił, że może wykorzystać swoje kwalifi-

kacje inżynierskie, które zdobył włączony przemocą do armii carskiej i pracujący tam jako saper. Zatrudniony przez Williama Milnora Robertsa zajął się budową linii kolejowych. Najpierw budował kolej z Nowego Jorku do rejonu Wielkich Jezior, ale w tym zakresie był po prostu jednym z wielu inżynierów.

Potem jednak przeniósł się do Kanady, i tam wybudował setki kilometrów linii kolejowych. Zrobił to w sposób profesjonalny. Najpierw w 1853 roku uruchomił w Toronto firmę budowlaną pod nazwą Gzowski & Co. Potem stworzył pierwszą w Kanadzie hutę produkującą szyny kolejowe. Uzyskał prawo do wycinania drzew na podkłady kolejowe i zaczął budować setki kilometrów linii kolejowych.

Nie ma sensu wymieniać tu miejscowości, które połączył kolejowo, bo kanadyjskie nazwy nie przemówią do polskiego czytelnika. Ale warto wspomnieć, że to on związał system komunikacyjny Kanady z USA budując w 1873 roku długi na ponad kilometr most International Railway Bridge, będący do dziś jednym z najważniejszych węzłów komunikacyjnych łączących koleje Kanady z siecią komunikacyjną USA.

Bardzo ceniony w USA i w Kanadzie inżynier Kazimierz Gzowski jest praktycznie nieznan w Polsce - dlatego przypominałem tu jego sylwetkę.

ZDJĘCIE TYGODNIA



Trwa budowa IV kręgu Opery Nova. Jej zakończenie ma nastąpić do końca 2026 r. Wcześniej do użytku planuje się oddać podziemny, dwupoziomowy parking na 212 pojazdów; niestety widzowie XXXII Bydgoskiego Festiwalu Operowego (potrwa od 25 kwietnia do 10 maja) nie zaparkują jeszcze pod IV kręgiem

Polska bez deszczów od miesiący

Str. 14-15

PULS
#213

– Ostrzeżenia o suszy nie biorą się znikąd. Choć prognozy zapowiadają gwałtowne ulewy, sytuacja w glebie i rzekach pozostaje trudna. Powinniśmy jednocześnie uczyć się życia z suszą i z coraz bardziej niszczącymi opadami nawalnymi – mówi hydrolog, prof. Paweł Rowiński

Anita Czapryn

PROF. PAWEŁ ROWIŃSKI: W WIELU CZĘŚCIACH KRAJU ZACZYNA MY MIEĆ POWAŻNE NIEDOBORY WODY

W ostatnich dniach w Polsce pojawiły się ostrzeżenia przed suszą hydrologiczną. Wydał je Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej m.in. dla zlewni Warty w województwach łódzkim i śląskim oraz Liswarty w opolskim. Z drugiej strony prognozy pogody zapowiadają krótkie, gwałtowne ulewy. Co właściwie dzieje się dziś z Polską i jak to rozumieć?

Rzeczywiście to może być trudne do zrozumienia, bo te komunikaty pozornie są sprzeczne. Odniosę się najpierw do samej suszy, bo ten rok jest pod tym względem specyficzny. Nie jest inny niż dawniej, ale jest inny niż w ostatnich latach. Pamiętamy przecież, że zimą mieliśmy jednak sporo śniegu, a zwykle wiosną narzekamy, że pokryw śnieżnej nie było i w związku z tym rośnie zagrożenie suszą. Na tę sytuację trzeba jednak patrzeć kompleksowo. Owszem, mieliśmy najpierw bardzo ciepły grudzień, a potem styczeń przyniósł temperatury, jakie pamiętają z dzieciństwa osoby dojrzałe. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, ale w ostatnich latach zdążyliśmy się już odzwyczaić od zimy, które były jednocześnie mroźne i śnieżne. To jednak tylko jeden element. Śniegu faktycznie było sporo, natomiast jeśli spojrzymy na statystyki opadów, okaże się, że styczeń był w gruncie rzeczy dość suchy. Kiedy policzy się, ile opadów spadło nad Polską, widać, że było ich znacznie poniżej średniej. Zatem mimo zalegającego śniegu styczeń okazał się miesiącem suchym. Śnieg trochę to rekompensował, bo uwalniał wodę przez dłuższy czas, a około 80 procent Polski było nim pokryte, więc na pewno nie weszliśmy w początek roku

z taką suszą jak w latach ubiegłych. Tyle że potem przyszły już mniej korzystne okoliczności. Szczególnie jeśli mówimy o marcu i kwietniu, to praktycznie nad Polską nie było opadów. Przez cały marzec właściwie nie padało. W kwietniu również na prawie całym obszarze kraju do niedawna opadów było bardzo mało. To spowodowało, że znowu pojawiły się znaczne deficyty wody i weszliśmy w okres suszy. I właśnie do tego zaczynamy się przyzwyczajać. Takie krótkotrwałe zawirowania pogodowe mogą być gwałtowne, czasem niebezpieczne, czasem prowadzą do podtopień czy lokalnych zalań, ale nie rekompensują deficytów wody w gruncie. Dlatego ostrzeżenia przed suszą nie biorą się znikąd. To są obserwacje tego, co dzieje się w glebie. Widać, że w wielu częściach kraju zaczynamy mieć niedobory wody. Pewnym miernikiem tego, co dzieje się w przyrodzie, są także nasze rzeki. W przeważającej części notują one stany niskie, czasem średnie, bardzo rzadko wysokie. Sytuacja hydrologiczna wygląda więc mniej więcej tak, jak ją opisałem; ostrzeżenia przed suszą są niestety uzasadnione.

Doprecyzujmy: czym właściwie jest susza hydrologiczna? IMGW mówi właśnie o suszy hydrologicznej, ale słyszymy też o suszy rolniczej czy po prostu o długich okresach bezdeszczowych. Jak odróżnić te zjawiska?

Może nie znużdzajmy czytelników ścisłymi definicjami, ale spróbuję to uporządkować. Zaczę od suszy atmosferycznej – to po prostu długotrwały brak opadów. Zwykle jednak nie mówimy tylko o samym deszczu, lecz łączymy to także

z temperaturą, bo kiedy jest długo bez opadów, a do tego utrzymuje się wysoka temperatura i niska wilgotność powietrza, wtedy mamy do czynienia z tym, co nazywamy suszą atmosferyczną albo meteorologiczną. Jeśli po takiej suszy atmosferycznej zasoby wody w glebie są już na tyle małe, że nie zaspokajają potrzeb roślin, wtedy mówimy o suszy glebowej. To właśnie ten moment, kiedy zaczyna się problem dla roślin i dla rolnictwa. Do tego dochodzi jeszcze susza hydrologiczna, o której pani wspomniała. Mówimy o niej wtedy, gdy obserwujemy obniżenie poziomu wód w rzekach i jeziorach. Kiedy pojawiają się niżówki, możemy mówić właśnie o suszy hydrologicznej. Jest jeszcze bardziej zaawansowany etap, kiedy zaczyna obniżać się poziom wód gruntowych. To kolejny stopień rozwoju suszy hydrologicznej. W Polsce co jakiś czas mamy do czynienia właściwie ze wszystkimi tymi typami, ale teraz szczególnie groźne jest to, że przechodzimy do suszy glebowej. To oznacza problem dla rolnictwa: w glebie jest mało wody, a właśnie wchodzimy w okres wegetacji, więc teraz tej wody naprawdę bardzo potrzebujemy.

Często słyszę od ekspertów, że jednym z największych problemów w Polsce jest nie tyle sam brak opadów, ile brak

zdolności do zatrzymywania wody. Nawet jeśli pojawiają się krótkie, gwałtowne ulewy, to taka woda nie zasilą ani gleby, ani zasobów wodnych w taki sposób, jakiego potrzebujemy. Na czym dokładnie polega ten problem?

Pani pytanie łączy w sobie kilka wątków. Jeden dotyczy krótkotrwałych opadów w czasie suszy. Kiedy gleba jest przesuszona, zeskorupiała, twarda, to rzeczywiście woda nie wnika w nią głęboko. Po prostu spływa po powierzchni, następuje szybki spływ powierzchniowy. Nie ma więc w tym paradoksu: silny opad po długim suchym okresie niewiele pomaga glebie. Często prowadzi za to do wezbrań, bo woda szybko trafia do rzek, pojawiają się podtopienia, a sama gleba nadal nie zatrzymuje jej w wystarczającym stopniu. To jest również efekt zmieniającego się charakteru opadów w Polsce. Coraz częściej opady trwają krótko, ale są bardzo intensywne, a jednocześnie wydłużają się okresy suche. To odwrotność tego, do czego byliśmy przyzwyczajeni kiedyś, gdy deszcz potrafił padać przez wiele dni. Bywał uciążliwy dla ludzi, ale rolnicy byli zadowoleni, bo taka woda spokojnie i skutecznie wsiąkała w glebę. To jest jedna część odpowiedzi. Druga dotyczy samego zatrzymywania wody. To już kwestia gospodarowania wodą, czy to w skali państwa, czy lokalnie.

Musimy uczyć się zatrzymywania wody tam, gdzie spada. Taka rozproszona retencja jest dziś niezwykle istotna. Kiedy mówimy, że sobie z tym nie radzimy, to dlatego, że nadal zatrzymujemy tej wody za mało. Oczywiście warto dodać, że zachodzą też pozytywne zmiany. Uczymy się tego, powstają różne programy, są państwowe zachęty do zatrzymywania wody, również na poziomie gmin i poszczególnych regionów. Coś się więc dzieje, ale dzieje się zbyt wolno i na zbyt małą skalę. I to jest właśnie problem.

Dlaczego z krajobrazu pogodowego znika ten zwyczajny deszcz, który siąpi przez cały dzień i spokojnie wsiąka w ziemię, a coraz częściej zastępują go nagle, gwałtowne ulewy? To znak zmiany klimatu?

Absolutnie tak. Każdy wzrost temperatury o jeden stopień powoduje, że atmosfera może wchłonąć o około 7 procent więcej wilgoci. Ta wilgoć się gromadzi, a kiedy dochodzi do nasycenia, uwalnia się w postaci intensywnych, gwałtownych opadów, najczęściej właśnie deszczów nawalnych. Polski klimat zaczyna przesuwać się na południe. Ocieplenie klimatu wyraźnie wpływa więc na charakter opadów. A jeśli do tego dochodzi jeszcze wyższa temperatura, mamy dodatkowy efekt: szybsze parowanie. To z kolei jeszcze bardziej sprzyja suszy.

Na ile za ten nowy rytm odpowiada sama atmosfera, a na ile człowiek: osuszanie mokradeł,

prostowanie rzek, betonowanie miast, melioracja podporządkowana szybkiemu odprowadzaniu wody? Co tu działa najgorzej?

Wymieniła pani bardzo ważne elementy. Mamy tu spłot dwóch czynników. Z jednej strony przyrodniczych. Po pierwsze: jesteśmy w takim miejscu Europy, w którym i tak nie mamy szczególnie dużych zasobów wody. Nad Polską zatrzymuje się jej znacznie mniej niż w wielu innych krajach Europy. To jedna sprawa. Do tego dochodzą zmiany klimatu, które, choć mają charakter przyrodniczy, to przecież są przede wszystkim skutkiem działalności człowieka. One wywołują te efekty, o których już mówiliśmy. Ale prawdą jest też to, że przez długi czas dominował u nas taki paradigmat gospodarowania wodą, zgodnie z którym należało ją jak najszybciej odprowadzać wszędzie tam, gdzie zalegała. Nie lubiliśmy błota, nie lubiliśmy mokradeł, wodę chcieliśmy odprowadzić do rzek, a najlepiej jak najszybciej do morza, bo wydawało się, że to najprostszy sposób ochrony także przed powodzią. Stąd prostowanie rzek, skracanie ich biegu i wszystkie te działania, o których pani wspomniała. Do tego dochodzi jeszcze urbanizacja. Miasta są coraz gęściej zaludnione i zagospodarowane w taki sposób, że przybywa powierzchni uszczelnionych. Wracamy więc do tego, o czym mówiliśmy przed chwilą: woda po betonie bardzo szybko spływa do rzek, zamiast być zatrzymana na miejscu. Można więc powiedzieć, że sami sobie w pewnym sensie pomogliśmy w pogłębianiu tego problemu. Właśnie dlatego tak ważne jest inteligentne i mądre gospoda-

*BUDOWANIE NASZEJ ODPORNOŚCI,
ZARÓWNO NA SUSZĘ, JAK
I NA POWÓDŹ, OZNACZA TAKŻE
ZMIANĘ SPOSOBU ZAGOSPODAROWANIA
PRZESTRZENNEGO KRAJU*



FOT. LUKASZ GDAK

Prof. Rowiński: Żle wyglądamy w Polsce z prostej przyczyny: u nas tej wody, zwłaszcza powierzchniowej, jest po prostu mało

rowanie wodą. W Polsce pojawia się coraz więcej programów, które skłaniają do innego projektowania miast, do myślenia o terenach zielonych i o takich rozwiązaniach, które wodę zatrzymują. Tyle że ten proces nadal przebiega zbyt wolno. A budowanie naszej odporności, zarówno na suszę, jak i na powódź, oznacza także zmianę sposobu zagospodarowania przestrzennego kraju.

Raporty klimatyczne i analizy Europejskiej Agencji Środowiska pokazują, że w Europie nasilają się zarówno susze, jak i epizody bardzo intensywnych opadów. Jak to konkretnie przekłada się na Polskę? Jak wyglądamy na tle innych krajów Europy?

Żle wyglądamy z prostej przyczyny: u nas tej wody, zwłaszcza powierzchniowej, jest po prostu mało. Istnieje taka statystyka, może nie idealna, ale często używana, która pokazuje, ile wód powierzchniowych przypada na mieszkańca w ciągu roku. I według niej mamy mniej więcej trzykrotnie mniej wody niż wynosi średnia w innych krajach Unii Europejskiej. To nie jest wskaźnik, który mówi wszystko, ale dobrze pokazuje skalę problemu. A kiedy dochodzą do tego procesy, o których pani mówiła i które opisują zarówno raporty agencji europejskich, jak i raporty IPCC (Intergovernmental Panel on Climate Change, czyli Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu - red.), to ob-

raz staje się jeszcze bardziej niepokojący. Charakter opadów wyraźnie się zmienia: przez długi czas jest sucho, a kiedy deszcz już się pojawia, bywa bardzo intensywny i krótki. W Polsce obserwujemy dokładnie to samo. Pod tym względem nie różnimy się od reszty Europy. Dlatego właśnie co jakiś czas mamy do czynienia z katastrofalnymi powodziami, jak choćby w 2024 roku w rejonie Nysy Kłodzkiej i na terenach sąsiednich. A przecież mimo tej powodzi nie był to rok szczególnie mokry, przeciwnie, był bardzo suchy. To pokazuje, że o skali strat coraz częściej decyduje nie suma opadów, ale gwałtowność samego zjawisk. I to nie jest wyłącznie polska specyfika. Kiedy podobne opady nawalne występowały w Niemczech czy Belgii, tam również nie potrafiono sobie z nimi poradzić. Skutki były katastrofalne: ogromne straty materialne i ofiary w ludziach. Mamy też w pamięci obrazy z 2024 r. z Walencji. Gwałtowność zjawisk to coś, do czego musimy się przyzwyczajać i z czym musimy nauczyć się żyć. Można powiedzieć, że w Europie zmiany klimatu wyostwiają problemy, które już mamy - tam, gdzie jest już sucho będzie jeszcze bardziej sucho.

Co dziś najbardziej niepokoi pana jako hydrologa? Czy jest to sucha gleba, niski stan rzek, obniżający się poziom wód

gruntowych czy może to, że te wszystkie zjawiska zaczynają się na siebie nakładać?

My, hydrologi, musimy patrzeć na to kompleksowo. Zresztą kiedy mówimy o gospodarowaniu wodą, również musimy myśleć o nim w sposób zintegrowany. Dlatego zawsze podkreślam, że nie możemy próbować rozwiązywać tylko jednego problemu, przygotowywać rozmaitych rozwiązań, technicznych czy nie-technicznych, na przykład dla przeciwdziałania skutkom suszy, a jednocześnie zapominać o ochronie przeciwpowodziowej. To wszystko jest ze sobą powiązane. Zresztą trochę już dziś o tym rozmawialiśmy: po długich okresach suchych przychodzą powodzie. Musimy więc przygotowywać się na to wszystko jednocześnie. Do tego dochodzą problemy z jakością wody, które przybierają na sile podczas zjawisk ekstremalnych. Kiedy pyta mnie pani, co najbardziej mnie martwi, to odpowiem, że przede wszystkim to, że wraz ze zmianą klimatu wszystkie te procesy ulegają intensyfikacji. Zjawiska, które mają charakter gwałtowny, stają się coraz silniejsze. I prawdę mówiąc, obrona przed tym staje się coraz trudniejsza. Dlatego budowanie naszej odporności społecznej na zjawiska katastrofalne powinno być jednym z priorytetów państwa. W Polsce zjawiska katastrofalne to przede wszystkim powódź i susze. Na ich tle wszystkie inne za-

grożenia mają zdecydowanie mniejsze znaczenie.

Coraz częściej słyszymy, że Polska stepowieje. Rzeczywiście tak jest? W sklepach ogrodniczych pojawiły się oliwki, niektórzy żartują, że warto już dziś je sadzić, to za 20 lat będziemy mieli gaje oliwne. Naprawdę idziemy w tym kierunku, czy słowo „stepowienie” brzmi za mocno?

Powiedziałbym tak: to są publicystyczne określenia. Na pewno nie obserwujemy jeszcze w Polsce procesu stepowienia. Natomiast obserwujemy te zjawiska, o których już mówiliśmy, czyli coraz dłuższe okresy suche. Polska jest krajem deficytowym pod względem wody w wielu aspektach, ale mamy na przykład stosunkowo zasobne wody gruntowe, a to daje nam pewien poziom bezpieczeństwa. Dużo wody jest też w sposób naturalny zatrzymane w krajobrazie, wciąż mamy przecież wiele jezior. Oczywiście wraz ze zmianami klimatu możemy obserwować różne zjawiska, w tym zmianę szaty roślinnej. Na przykład w pewnym momencie w Polsce może być coraz mniej świerków, bo to gatunek, który m.in. potrzebuje sporo wody. To zresztą jest bardziej skomplikowany proces, bo na południu kraju dochodzą przykładowo silne wiatry nie sprzyjające temu gatunkowi. Zmiany klimatyczne uruchamiają bardzo wiele takich procesów, natomiast stepowienie jest zjawie-

niem dużo dalej posuniętym. Myślę więc, że musimy uważać na słowa, żeby bez potrzeby nie straszyć społeczeństwa. Mamy wystarczająco dużo sygnałów alarmowych.

Co roku jeżdżę nad Biebrzę obserwować ptaki. Kiedyś mówiło się o bagnach biebrzańskich, dziś coraz częściej można tam chodzić suchą stopą. Można odnieść wrażenie, że dawny krajobraz Polski znika: łąki i rozlewiska, które potrzebowały wilgoci, zaczynają wysychać, ptaki, które kiedyś przylatywały tam regularnie, dziś pojawiają się tylko na chwilę albo znikają zupełnie. To prawda, ale to nadal nie jest jeszcze stepowienie. Natomiast na Biebrzy mieliśmy ogromne problemy z pożarami, właśnie w wyniku braku opadów i suszy. Lasy biebrzańskie w tamtej okolicy również mocno ucierpiały od ognia. Podobnie wygląda sytuacja w układzie narwiańskim, w wielokorytowym systemie Narwi, na obszarze Narwiańskiego Parku Narodowego. Tam również coraz rzadziej widzimy tę przyrodę, do której byliśmy przyzwyczajeni. Ten wielokorytowy, piękny, unikalny, anastomozujący system rzeczny coraz rzadziej pokazuje wodę w swoich licznych korytach. Tak więc oczywiście, zmiany są widoczne.

Jak może wyglądać Polska za 10-20 lat? Będzie krajem o innym pejzażu niż ten, który pamiętamy z dzieciństwa?

Myślę, że to są jednak procesy bardziej długotrwałe i że perspektywa 10-20 lat jest jeszcze zbyt krótka, by mówić o bardzo wyraźnych, łatwo dostrzegalnych zmianach krajobrazu. To będzie raczej dłuższy proces. Ale oczywiście, jeśli zmiany klimatyczne będą postępować - a będą, to, jak już mówiliśmy, szata roślinna może się zmieniać, krajobraz również, bo przyroda będzie musiała sobie z tym jakoś poradzić. Ale ja jestem też optymistą i myślę, że my również się uczymy. Na przykład gospodarowanie wodą będzie wyglądało inaczej, bardziej w zgodzie z naturą. Nauczymy się tego, o czym cały czas tu mówimy: zatrzymać wodę tam, gdzie spada, a nie tylko w wielkich zbiornikach retencyjnych. Nauczymy się też mądrej ochrony przeciwpowodziowej. Szukajmy więc również tych bardziej optymistycznych elementów, wynikających z wiary w mądrość człowieka. To byłaby moja odpowiedź.

A co pana dziś najbardziej irytuje w publicznej rozmowie o suszy?

Po pierwsze, to, że czasami zbyt łatwo folgujemy sobie w fantazjach i w bardzo skrajnych poglądach, czy to w jedną, czy w drugą stronę, na temat ochrony i gospodarowania wodą. W komentowaniu tych spraw trzeba zachowywać rozsądek. I wydaje mi się, że najlepiej byłoby, gdyby te wszystkie komentarze były oparte na wiedzy, bo tego czasem w debacie po prostu brakuje. Pojawiają się różne niepotwierdzone informacje czy sady, które nie mają oparcia w faktach i w coraz większej wiedzy naukowej. Dlatego zachęcałbym do tego, żeby to była debata, jak mówią Brytyjczycy, evidence based, czyli oparta na tym, co zostało udowodnione albo rzeczywiście zaobserwowane.

CV



FOT. MAI PRAS

Prof. dr hab. Paweł Rowiński
Członek rzeczywisty PAN, dyrektor Instytutu Geofizyki Polskiej Akademii Nauk, przewodniczący zarządu europejskiego oddziału Międzynarodowej Asocjacji Badań i Inżynierii Środowiska Wodnego (IAHR), Prezes ALLEA - Europejskiej Federacji Akademii Nauk.

ZWOLNIENI Z PRACY. SZOK, PSYCHIATRA I NOWE ŻYCIE

Anna, fizjoterapeutka z Torunia, straciła pracę w przychodni po tym, jak pochwaliła się szefowej swoim ślubem. Macieja firma zredukowała tuż przed jego wejściem w ochronę przedemerytalną. Ola wyleciała z drogerii niesłusznie podejrzana o kradzież. Traumę przeżyli, ale się podnieśli. Wszyscy pierwszy raz w życiu byli u psychiatry

Małgorzata Oberlan

Minęło już trochę czasu, ale poczucie krzywdy w sobie nadal noszę. Znalazłam nową pracę w zawodzie i to w dobrym środowisku. Utratę pracy w przychodni jednak odchorowałam. Musiałam korzystać z pomocy psychiatry - mówi Anna, fizjoterapeutka z Torunia.

Nieprzedłużona. Historia Anny z przychodni zdrowia

Anna kocha swój fach. Fizjoterapia to dla niej coś więcej niż tylko wyuczony zawód czy źródło zarobku. Wydawało jej się, że w tej publicznej przychodni w Toruniu jej zaangażowanie jest doceniane. Była chwalona przez przełożonych, wysyłana na szkolenia. Radość z pracy - psuła jej ogólnie słabą atmosferę w tej placówce i powtarzające się spięcia dyrektorki z pracownikami. Przez dłuższy czas jej bezpośredniość to jednak nie dotyczyło.

- W tej przychodni (i przecież nie jest to w Toruniu tajemnicą) dyrektorka postanowiła rzucić „twardą ręką”. Wszyscy pamiętają takie sytuacje, jak np. śledzenie przez panią dyrektorkę na kamerach, o której godzinie ludzie wychodzą z pracy dzień przed majowym weekendem, a potem robienie afer z pięciu minut urwanek z dniówki - wspomina Anna.

Tak zwani „wszyscy zorientowani” wiedzieli też, jak twierdzi Anna, że szczególnie na cenzurowanym są młode matki (zwolnienia na dzieci!), potencjalne matki i generalnie ludzie biorący zwolnienia, opiekę nad bliskimi etc.

- Co mnie spotkało konkretnie? „Nie chwał się ślubem” - ostrzegali mnie koledzy z dłuższym stażem. A ja się pochwalałam i pracę straciłam. Zamiast przedłużenia umowy, a liczyłam już na taką na czas nieokreślony, nastąpiło „nieprzedłużenie”.



Utrata pracy to jedno z najbardziej stresujących doświadczeń życiowych i to niezależnie od tego, czy posadę tracimy po roku czy 20 latach

Bez konkretnej argumentacji, wytłumaczenia. Jak grom z jasnego nieba - opowiada fizjoterapeutka. Jest pewna, że prawdziwą przyczyną było to, że „zraz jako kolejna zajdzie w ciążę i będzie brała zwolnienia”.

Co było dalej? Szok, niedowierzanie, poczucie ogromnej krzywdy i niesprawiedliwości. Stany depresyjne i psychiatra - pierwszy raz w życiu. Ale potem - powrót do życia.

- Dziś pracuję w swoim zawodzie w placówce opiekuńczej, tak to nazwijmy. Niepublicznej, założonej i prowadzonej przez ludzi z pasją. Dopiero w takim środowisku, wraz z upływem czasu i nabierania dystansu widzę, jakim toksycznym miejscem była ta przychodnia - kończy Anna. Poczucie krzywdy jednak jej nie opuściło.

Zredukowany. Maciej z dużej firmy

- Widzieliście Macieja? Normalnie, inny człowiek! Uśmiechnięty, taki promienny wręcz. Do-

bra aura... Aż trudno to określić - tak dziś o koledze z pracy mówią ci, którzy w firmie zostali. Jemu wręczono wypowiedzenie, ale po kilku miesiącach to on zaraża świat pozytywną energią.

Firma jest duża, znana nie tylko w Toruniu i kolejny rok „restrukturyzowana”. Proces ten, w odczuciu załogi, polega na systematycznej redukcji etatów w ramach „optymalizacji zatrudnienia”. Innego pomysłu na ratowanie statku dryfującego po mieliźnie pracownicy u prezesów nie widzą.

Maciej pracujący w tej firmie od ćwierćwiecza był jednak ostatnim, którego koledzy wskazaliby jako kandydata do zredukowania. Profesjonalny w każdym calu, niezwykle doświadczony, dyspozycyjny. A jednak... Podczas ostatniej optymalizacji zatrudnienia to właśnie jego zredukowano. Nie zdążył wejść w okres ochronny przedeme-

rytalny. - Do dziś nie wiem, dlaczego ja - tak naprawdę. Miałem w sobie nie tylko ogromne poczucie niesprawiedliwości, ale też takiej wielkiej niemocy. Poczucie, że nic tak naprawdę od ciebie w pracy i w życiu nie zależy. Bo mimo starań, doskonałych kwalifikacji, doświadczenia i tak dalej - i tak może paść na ciebie - opowiada Maciej.

Nigdy nie myślał, że kiedyś trafi do gabinetu psychiatry. A trafił. Nie kryje, że po pierwsze, by przy okazji brutalnego ciosu ze strony firmy „sobie porachować”. Przy okazji niejako okazało się, że pomoc jednak się przyda.

- Jestem z tego pokolenia (urodzeni w latach 60.), które przywykło z najróżniejszymi problemami radzić sobie samemu. Bez obciążania nimi nawet najbliższych. Generalnie u pani psychiatry mogłem się wygadać i uporządkować myśli. Coś, co kiedyś robiło się w gronie przyjaciół. A dziś? Tempo życia i relacje ludzkie

tak się pozmieniały, że można mieć wielu znajomych, ale przyjaciół jak na lekarstwo - mówi Maciej.

Sam ocenia, że pewnie dla swojej lekarki był nietypowym pacjentem. Nie zapomni jej nieudawanej radości, gdy zgłosił chęć zakończenia wizyt, bo po prostu nie będzie już miał na to czasu - znalazł nową pracę. A posadę znalazł w branży, dzięki szerokiej siatce znajomych i marce fachowca, wypracowanej przez lata. Teraz Maciej chodzi po świecie z tą dobrą aurą, którą zadziwiał dawnymi kolegów z dryfującej po mieliźnie firmy.

Zlikwidowana. Ola z sieciowej drogerii

Przypadek Oli jest nieco inny, bo to młoda osoba i w tej sieciowej drogerii w Toruniu pracowała niecałe 2 lata. Utrata pracy zabolowała ją jednak tak samo mocno jak tych, którym żegnać się z posadą przychodziło po wielu latach. Tym bardziej, że wcześniej doświadczyła niesprawiedliwego traktowania. - Te dwie małe mnie załatwiły - z gorzkim uśmiechem wspomina dziś Ola. - Koleżanka i zastępczyni kierowniczki posądziły mnie o kradzież kosmetyków. Absolutnie niesprawiedliwie. Uknuły spisek i potem wszystko się wyjaśniło dzięki monitoringowi i wewnętrznej kontroli, ale co to było za stres...

Z podejrzeń w oczach kierownictwa Ola została oczyszczona, ale „przepraszam” ze strony spiskujących nigdy nie padło. Sytuacja w sklepie uspo-

koila się na jakieś dwa miesiące. A potem... Potem były zmiany, które w tej sieci powtarzają się regularnie: jedno lokalizacje sklepów (nie tylko w Toruniu) się wygasza, otwierając jednocześnie też nowe placówki.

- Dziewczyny zostały przeniesione do innego sklepu, a moje stanowisko pracy dziwnym trafem zostało zlikwidowane. Jestem pewna, że pozbyto się mnie przez tę całą aferę z kosmetykami i robienie ze mnie złodziejki - mówi Ola.

Najpierw dopadły ją wściekłość i złość. Potem apatia. Bezsenność. Brak apetytu - na jedzenie, działanie, życie w ogóle. Wreszcie: brak siły, by wstać z łóżka. Wtedy wkroczyły do akcji siostra i przyjaciółka, bo partner Oli przekonał jej do szukania fachowej pomocy nie zdołał. Ostatecznie pomogły i farmakoterapia, i psychoterapia.

- A dziś? Tak się leczyłam z tej depresji, że aż zaszałam w ciążę. Nie, nie z psychiatrą (śmiech), tylko z moim Bartkiem. Wcześniej to w ogóle takiego scenariusza nie brałam pod uwagę, bo praca, rozwój, pieniądze... A teraz jesteśmy szczęśliwi. Wszystko się jakoś poukładało. Bartek awansował i dużo lepiej zarabia. Ja teraz piekę i dekoruję torty w domu, na zamówienie. Będę dobrze - kończy Ola. Dodaje, że zakupów w wiadomej sieci drogerii nie robi i robić nie zamierza. Wybrała sieć konkurencyjną. Ale poczucie krzywdy zostało. ©

PS Imiona bohaterów tekstu zostały zmienione.

DO PSYCHIATRY. RZADZIEJ IDZIEMY NIŻ DEKLARUJEMY

Jak rozumiana, oceniana i przeżywana jest pomoc psychologiczna, psychoterapeutyczna i psychiatryczna w Polsce? Odpowiedzi na to pytanie szukali autorzy raportu, przygotowanego przez Instytut Psychologii PAN w ramach projektu „Psychologia dla Społeczeństwa”. Wynika z niego, że skala błędnych przekonań wśród Polaków pozostaje znacząca: 45,5 proc. badanych uważa, że tylko osoby z poważnymi chorobami psychicznymi potrzebują profesjonalnego wsparcia, 35,8 proc. traktuje psychoterapię jako równoważną rozmowie z kimś bliskim, a 39,3 proc. sądzi, że studia psychologiczne umożliwiają przepisywanie leków psychotropowych. Z badania wynikało, że z usług psychologa w ogóle kiedykolwiek korzystało 27 proc. dorosłych Polek i Polaków, 12 proc. - z pomocy psychoterapeuty, a 24 proc. - psychiatry. Jednocześnie aż 54 proc. badanych deklarowało, że z powodu dyskomfortu psychicznego rozważało skorzystanie z profesjonalnej pomocy, podczas gdy faktycznie zrobiło to 38 proc.

Najczęściej deklarowane bariery w korzystaniu z pomocy psychologicznej mają charakter wewnętrzny i społeczny, a nie tylko systemowy (dostępność). Dla 54 proc. badanych istotną przeszkodą była chęć samodzielnego rozwiązania problemu, 44 proc. wierzyło, że trudności „same miną”, a 34 proc. uznawało, że tak naprawdę nie ma problemu. Istotną barierą okazała się również niechęć do mówienia o emocjach i myślach (47 proc.), obawy dotyczące metod leczenia, w tym skutków ubocznych leków (44 proc.), a także lęk przed oceną społeczną. Około 35 proc. badanych obawiało się bycia postrzeganym jako „wariat”, odczuwało wstyd lub obawę przez uznanym za „słabego”.

(Za: „Polacy boją się pomocy psychologicznej”? Sławomir Skomra, 22.02.2026 r. Polityka Zdrowotna.com.pl)

Siedmioletni Jaś potrzebuje terapii genowej. Rodzice proszą o pomoc

Jaś Szczytniewski cierpi na ultraradkie schorzenie neurologiczne. Na świecie dotkniętych jest nim zaledwie 12 osób. Odpowiada za nie mutacja w genie PUS3, prowadząca do opóźnienia rozwoju i wielu innych problemów zdrowotnych. Jedyną szansą na choćby częściowe odwrócenie mutacji genu jest terapia genu. Jednak jej koszty są ogromne!

Małgorzata Chojnicka

Po urodzeniu Jaś Szczytniewski otrzymał maksymalną punktację w skali Apgar. Gdy miał 10 miesięcy, rodziców zaniepokoił jego spokój. Starsza córka dała nam ostro w kość i po prostu myśleliśmy, że to taka nagroda za tamte nieprzespane noce - mówi tata Jasia. - Szybko okazało się, że jesteśmy w błędzie. Ciało synka było wiotkie, w ogóle nie interesował się też zabawkami. Rozpoczęliśmy żmudną i długą diagnostykę.

Lekarze ustalili, że dziecko ma opóźniony rozwój, ale nie potrafili znaleźć przyczyny. Wykonano badania genetyczne, ale ich wynik był prawidłowy. - W pierwszej chwili odetchnęliśmy z ulgą - wspomina Karolina Szczytniewska. - Zaraz potem wrócił ogromny niepokój, bo widzieliśmy przecież, że rozwój dziecka nie postępuje. Wówczas mieszkaliśmy we Włocławku. Intensywna rehabilitacja przynosiła mizerne efekty. W końcu zrobiliśmy badanie WES. Kosztowało około 10 tys. zł, ale dzięki niemu dowiedzieliśmy się, że synek ma mutację w genie PUS3.

Z chorobami rzadkimi jest tak, że nie wiadomo, jak je leczyć. Rodzice Jasia znaleźli się w punkcie bez wyjścia. Po chwilowym załamaniu przyszła ogromna determinacja, by walczyć o zdrowie syna. Pojawiła się szansa terapii genetycznej. Jednak koszt takiego leczenia to kwota rzędu... 5 mln euro! Pozwoli ona na wyprodukowanie od 10 do 15 dawek leku, z którego będą mogły skorzystać także inne dzieci. - Jesteśmy w kontakcie z rodzicami innych dzieci - kontynuuje pani Karolina. - Założyliśmy Fundację PUS3 Foundation, aby zebrać środki finansowe do stworzenia terapii genowej. Współpracujemy z fundacją Gene2Cure Foundation, którą kieruje prof. Leszek Lisowski, światowej sławy ekspert w dziedzinie terapii genowej.

Prace nad terapią genową

Mówiąc w dużym skrócie, ta terapia pozwoli na wprowadzenie



Jaś Szczytniewski z siostrą i rodzicami

nie zdrowego genu do komórek pacjentów, co wspomogłoby rozwój dzieci. Na jej opracowanie zdecydował się prof. Leszek Lisowski, który pracą zawodową dzieli między Polską a Australią. W kraju pracuje w Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie.

- Na świecie zdiagnozowano ponad 10 tysięcy chorób rzadkich - wyjaśnia prof. Leszek Lisowski. - Cała trudność w ich leczeniu polega na tym, że każda z tych chorób ma inne podłoże genetyczne i objawy kliniczne. Nie sposób ustalić jednolitych standardów postępowania. Nowy lek musi zostać opracowany dla każdej konkretnej choroby. Stąd takie koszty. Jednak efekty terapii genowej są spektakularne. Na przykład chłopiec, który otrzymał zdrowy gen, wyszedł ze szpitala po 7 dniach hospitalizacji na własnych nogach, a nigdy wcześniej nie chodził. Dla rodziców były to dosłownie drugie narodziny syna. Ten przypadek pokazuje, jaką siłę regeneracyjną mają komórki mózgowe po dostarczeniu zdrowego genu. Zaczynają produkować właściwą proteinę,

dzięki czemu mózg dostaje szansę na rozpoczęcie nowego życia.

W przypadku każdego z pacjentów leczenie przebiega inaczej. Decyduje o tym wiele czynników, m.in. wiek, ogólna kondycja, intensywność rehabilitacji. Ponadto dany gen może mieć wiele różnych mutacji. W zależności od mutacji rodzaj terapii genowej, którą trzeba stworzyć, może się różnić. Mała liczba chorych też nie pomaga, bo nie ma dużo danych co do przewidywanego przebiegu choroby. Wszystko trzeba tworzyć od nowa.

Nośnikiem zdrowego genu jest wektor wirusowy, który ma z kolei ograniczoną pojemność. Czasami nie pozwala to na użycie całego genu jako elementu aktywnego terapii i wymaga tworzenia nowych rozwiązań technologicznych. To dodatkowo bardzo komplikuje cały proces tworzenia i badania ewentualnych nowych terapii eksperymentalnych. Na końcu całego procesu, jak już powstanie nowa terapia genetyczna, trzeba ją zastosować, a to wymaga dostępu do wyspecjalizowanych ośrodków medycz-

nych oraz lekarzy z bardzo specyficznymi umiejętnościami.

- W przypadku terapii eksperymentalnej na PUS3 jesteśmy już na etapie, gdzie pojawiło się duże prawdopodobieństwo, że lek przejdzie do badań klinicznych - stwierdza prof. Lisowski. - W następnym etapie skuteczność tej nowej terapii biologicznej muszą potwier-

dzić niezależne firmy. Dlatego koszty są tak duże.

Nie mogą liczyć na wsparcie z NFZ

Rodzice dzieci z mutacją w genie PUS3 nie mogą liczyć na wsparcie z NFZ. W informacji otrzymanej z Ministerstwa Zdrowia czytamy: „W Polsce w ramach obowiązujących przepisów prawa tylko produkt, który jest dopuszczony do obrotu na terenie UE lub w Polsce, może zostać objęty refundacją (zgodnie z art. 10 pkt.1. ustawy o refundacji) czy finansowany w ramach ratunkowego dostępu do technologii lekowej - RDTL (zgodnie z art. 47d pkt.4. ustawy o świadczeniach). Podkreślamy, że tylko w przypadku zakończenia procesu rejestracyjnego, a następnie dopuszczenia danego leku do obrotu na terytorium Unii Europejskiej możliwe jest jego finansowanie w ramach procedury RDTL albo refundacja systemowa w Polsce. Jednak, aby lek został objęty refundacją systemową, konieczne jest przedłożenie przez podmiot odpowiedzialny stosownego wniosku o objęcie refundacją i ustalenie warunków cenowych, tym samym decyzja o ewentualnym objęciu refun-

dacji leczenia w Polsce finalnie jest uzależniona od firmy farmaceutycznej”.

Rodzice robią, co w ludzkiej mocy

Jasiu chodzi do przedszkola, ale jest w grupie wiekowo młodszej. Przechodzi intensywną rehabilitację, by osiągnąć jak największą samodzielność. To dla niego bardzo ciężka praca.

- W ostatnim czasie przeszedł dwa silne napady padaczki - opowiada jego mama. - Nie wiadomo, dlaczego do nich doszło. U dziecka tak obciążonego neurologicznie mogą doprowadzić do cofnięcia postępów, osiągniętych podczas rehabilitacji. Na szczęście u Jasia do tego nie doszło. Chodzi samodzielnie i rozumie, co się do niego mówi.

Niedawno w lipnowskim kinie „Nawojka”, aby wspomóc leczenie Jasia, zorganizowano imprezę charytatywną. Zaangażowała się w nią społeczność Szkoły Podstawowej nr 3, w której Karolina Szczytniewska jest nauczycielem współpracującym. Najpierw był spektakl „Między lekcją a życiem - jak to w pokoju nauczycielskim bywa”, a po nim licytacja. Były momenty bardzo wzruszające. Zebrana kwota jest zaledwie kroplą w morzu potrzeb.

Rodzice nie ustają w staraniach. W wielu miejscach w Lipnie wystawiono puszki, do których można wrzucać pieniądze na leczenie chłopczyka. Można też przekazać 1,5 proc. swego podatku dochodowego.

- Bez zastanowienia wystawiliśmy w naszym sklepie puszki, do której można wrzucać pieniądze na rzecz Jasia - mówi Wioletta Grzywaczewska ze sklepu „Warzywko” w Lipnie. - Sami jesteśmy rodzicami i doskonale wiemy, co znaczy zdrowie dziecka. Mamy nadzieję, że nasza mobilizacja będzie miała szczęśliwe zakończenie.

Wszystkie działania podejmowane na rzecz Jasia Szczytniewskiego można śledzić na Facebooku.



Wioletta Grzywaczewska z puszką na zbiórkę pieniędzy na rzecz Jasia

Czym zajmuje się rzecznik odpowiedzialności zawodowej?

W najprostszym ujęciu - odpowiedzialnością zawodową lekarzy, ale w praktyce to znacznie szerszy zakres działań. Można tę funkcję porównać do roli prokuratora, bo rzecznik analizuje wszystkie wpływające skargi, ocenia ich zasadność i decyduje, czy są podstawy do wszczęcia postępowania. Warto pamiętać, że samorządy zawodowe - nie tylko lekarskie, ale też adwokackie, aptekarskie czy weterynaryjne - same prowadzą swoje postępowania dyscyplinarne. To oznacza dużą niezależność, ale też odpowiedzialność za standardy w danym środowisku. Nie bez powodu niemal połowa ustawy o izbach lekarskich dotyczy właśnie odpowiedzialności zawodowej.

Ile skarg trafia do rzecznika?

Skala jest coraz większa. Na początku mojej kadencji było to około 80 skarg rocznie, później liczba ta wzrosła do 120. W tym roku mamy ich już 50, a to dopiero część roku, więc można spodziewać się około 160 skarg. Ten wzrost jest wyraźny i ma charakter stały, a nie incydentalny.

Z czego wynika ten wzrost?

Nie ma jednej odpowiedzi. Z jednej strony można mówić o większej świadomości pacjentów - coraz częściej wiedzą, że mają prawo zgłosić nieprawidłowości. To pokazuje, że pacjenci coraz częściej zgłaszają nie tylko błędy medyczne, ale też problemy systemowe. Z drugiej strony znaczenie ma też łatwość składania skarg. Wiele z nich trafia do nas drogą mailową. To upraszcza kontakt, ale nie zmienia faktu, że skarga musi spełniać określone wymogi formalne. Przede wszystkim musi być podpisana odręcznie. Jeśli tego podpisu brakuje, wzywamy zgłaszającego do uzupełnienia tego braku. Natomiast w sytuacjach poważnych, kiedy informacja budzi uzasadnione wątpliwości, możemy działać z urzędu. Wtedy to rzecznik staje się stroną postępowania, a nie osoba zgłaszająca.

Czy nadzoruje pani lekarzy w całym województwie?

To częste uproszczenie, ale nie do końca prawdziwe. Izby lekarskie nie są odwzorowaniem podziału administracyjnego kraju. U nas akurat granice się pokrywają, ale zasadą jest, że lekarz podlega tej izbie, do której należy, a nie tej, na terenie której pracuje. Mieliśmy niedawno sytuację z anestezjologiem pracującym w Mońkach, który był na dyżurze pod wpływem alkoholu - zawiadomienie trafiło do nas, ale po sprawdzeniu okazało się, że lekarz należy do innej izby i sprawa została tam przekazana. To po-

Skarg przybywa i zmienia się ich charakter. Obok poważnych spraw pojawiają się też te pokazujące codzienne napięcia w systemie ochrony zdrowia - od organizacji pracy po oczekiwania pacjentów. Do rzecznika trafiają również zgłoszenia dotyczące nowych zjawisk, które jeszcze kilka lat temu właściwie nie istniały. Z czym dziś mierzy się rzecznik odpowiedzialności zawodowej, opowiada Małgorzata Topolska z Okręgowej Izby Lekarskiej w Białymstoku

Agnieszka Domanowska

PACJENCI SKARŻĄ SIĘ NA LEKARZY. NA ICH BŁĘDY MEDYCZNE I... KILKUMINUŃTOWE SPÓŹNIENIA

kazuje, jak działa system w praktyce.

Czy lekarz może nie należeć do żadnej izby?

Nie, to niemożliwe. Przynależność do izby lekarskiej jest warunkiem wykonywania zawodu. Bez niej lekarz nie ma prawa pracować, nie może prowadzić praktyki ani udzielać świadczeń medycznych. Przynależność lekarza do określonej izby oraz jego kwalifikacje zawodowe można sprawdzić w Rejestrze Lekarzy prowadzonym przez Naczelną Izbę Lekarską.

Ile spraw kończy się ukaraniem lekarza?

Statystycznie jest to około 10-15 procent wszystkich spraw. To niewielki odsetek, ale nie oznacza, że pozostałe skargi są ignorowane. Każda sprawa jest rzetelnie analizowana. Często okazuje się, że źródłem problemu nie jest błąd lekarza, lecz organizacja pracy placówki - na przykład brak personelu, przeciążenie systemu czy niewłaściwa organizacja przyjęć. W takich sytuacjach wyjaśniamy pacjentowi realne przyczyny zdarzenia. Zdarzają się też sytuacje, w których sama interwencja przynosi efekt - była placówka, z której skargi napływały regularnie, ale po rozmowie z jej kierownictwem problem zniknął.

Jakiego typu skargi są najczęstsze?

Najwięcej skarg dotyczy specjalności zabiegowych - ortopedii, chirurgii, w tym dziecięcej oraz położnictwa i ginekologii. To dziedziny, w których ryzyko powikłań jest większe, a złe efekty leczenia są często bardzo odczuwalne dla pacjenta. Coraz częściej pojawiają się też skargi na funkcjonowanie podstawowej opieki zdrowotnej - lekarzy rodzinnych, SOR-ów czy nocnej pomocy lekarskiej.

Zdarzają się też skargi błahе?

FOT. W. WOTKIEWICZ

- Wpływa coraz więcej skarg. Z jednej strony można mówić o większej świadomości pacjentów - coraz częściej wiedzą, że mają prawo zgłosić nieprawidłowości. Z drugiej strony znaczenie ma też łatwość składania skarg. Wiele z nich trafia do nas drogą mailową - mówi Małgorzata Topolska z Okręgowej Izby Lekarskiej w Białymstoku

Nie użyłabym takiego określenia, bo każda sprawa jest dla kogoś ważna i wymaga wyjaśnienia. Natomiast rzeczywiście zdarzają się sytuacje, które pokazują pewne napięcia między oczekiwaniami pacjentów a realiami pracy systemu. Przykładem jest np. skarga na przyjęcie pacjenta z sześciominutowym opóźnieniem.

To naprawdę powód do skargi?

W świetle jednego z wyroków sądu administracyjnego - tak. Sąd uznał, że godzina wizyty jest wartością obligatoryjną. Z perspektywy praktyki medycznej to bardzo problematyczne podejście. W rzeczywistości lekarz pracuje z pacjentem, którego stan zdrowia jest nieprzewidywalny. Jedna wizyta może się wydłużyć, bo wymaga dokładniejszej diagnostyki czy rozmowy. Nie da się jej zakończyć „co do minuty”. W innych instytucjach, jak sądy czy urzędy, opóźnienia są czymś naturalnym, natomiast w medycynie zaczynają być podstawą do skarg. To pokazuje pewną rozbieżność między przepisami a realiami.

Na czym polega problem z receptomatami?

Chodzi o wystawianie recepty przez internet bez badania pacjenta, często wyłącznie na jego życzenie. Dotyczyło to również marihuany leczniczej. Wprowadzono przepisy, które wymagają osobistego zbadania pacjenta, ale mimo to takie praktyki nadal się zdarzają. Skala zjawiska jest duża i ma charakter społeczny, a jednocześnie nie jest szeroko omawiana.

Jakie inne niepokojące zjawiska pani obserwuje?

Coraz częściej spotykamy się z leczeniem niezgodnym z aktualną wiedzą medyczną - ordynowaniu suplementów, wysokich dawek witamin czy różnych alternatywnych metodach bez potwierdzenia naukowego. Po pandemii zniknęła homeopatia, ale jej miejsce zajęły inne, często bardziej złożone i trudniejsze do wychwycenia praktyki.

Dotyczy to także lekarzy aktywnych w internecie?

Tak. Pojawiło się zjawisko określane jako „medycyna oparta na lajkach”. Lekarze budują popularność, publikując treści, które nie zawsze mają oparcie w wiedzy medycznej. To trudne sprawy, bo wymagają analizy materiałów, które bywają nie tylko nieprawdziwe, ale też potencjalnie szkodliwe dla pacjentów.

Ma pani przykład takiej sytuacji?

Jedna z dokumentacji, którą analizowałam, zawierała przepis kulinarny - dokładną instrukcję pieczenia boczku - wpisaną w historię leczenia pacjenta z podwyższonym cholesterolem. Sam przepis był bardzo dobry, ale zupełnie nieadekwatny do problemu zdrowotnego pacjenta. To pokazuje skalę absurdu niektórych sytuacji.

Czy środowisko reaguje na takie przypadki?

Tak, prowadzimy postępowania w takich sprawach. Współpracujemy również z Rzecznikiem Praw Pacjenta - my zajmujemy się lekarzami, a on placówkami medycznymi. To pozwala działać kompleksowo.

Czy potrzebne są zmiany w prawie?

Zdecydowanie tak. Czekamy na tzw. ustawę „lex szarlatan”, która ma objąć nie tylko lekarzy, ale też osoby spoza zawodu podszywające się pod specjalistów. Problemem są osoby publikujące swoje „umiejętności” m.in. strony internetowe pełne certyfikatów z instytucji, które nie mają nic wspólnego z medycyną, a dla pacjentów wyglądające wiarygodnie.

Jak pacjent może się chronić?

Najprostszym sposobem jest sprawdzenie lekarza w rejestrze prowadzonym przez Naczelną Izbę Lekarską. Można tam zobaczyć, czy dana osoba ma prawo wykonywania zawodu, czy nie jest ono zawieszona, i jaką ma specjalizację. To podstawowe narzędzie, z którego wciąż korzysta zbyt mało osób.

Czy zdarzają się przypadki pracy bez uprawnień?

Tak. Mieliśmy zgłoszenie dotyczące lekarza z zawieszonym prawem wykonywania zawodu, który mimo to przyjmował pacjentów. Pacjentka sprawdziła jego dane przed wizytą i dzięki temu sprawa została ujawniona. To pokazuje, jak ważna jest weryfikacja.

Jak wygląda idealna sytuacja z perspektywy rzecznika?

Najszczęśliwszy rzecznik to ten, do którego nie wpływają żadne skargi. To oznaczałoby, że system działa bez zarzutu, a pacjenci są zadowoleni z opieki. W praktyce to jednak nierealne - zawsze będą sytuacje wymagające wyjaśnienia.

REKLAMA

0011503981



Śmietanka Polska 12%

Subtelny akcent
do Twoich dań

Śmietanka Polska 18%

Niezawodna klasyka
w kuchni



Śmietanka Polska. Mistrzynie w kuchni.

Śmietanka Polska 30%

Idealna do kremów
i deserów



Śmietanka Polska 36%

Gwarancja trwałych
dekoracji



www.mlekovita.com.pl

mlekovita_pl

mlekovita



Czy ojciec gra w piłkę nożną?

Moja największa przygoda z piłką to czasy seminarium w Kłodzku. Rozgrywaliśmy wtedy dziesiątki meczów - z policją, lekarzami, wojskiem... Raz wygrywaliśmy, raz przegrywaliśmy, ale to właśnie tam nauczyłem się, że najważniejsze jest to, co dzieje się między ludźmi na boisku. Dziś, choć serce wciąż rwie się do gry, zdrowie postawiło mi wyraźną granicę. Problemy z nogami i PESEL zmusiły mnie do „zawieszenia korków na kołku”. Przyjąłem to jednak jako nowe zadanie. Skoro nie mogę już biegać po murawie, moją rolą jest wspieranie drużyny modlitwą, obecnością i dobrym słowem. Moje nogi odpoczywają, ale serce wciąż gra w tym samym zespole.

Grał ojciec w habicie czy w stroju sportowym?

Na boisku stawiałem na wygodę. Zakładałem normalny strój sportowy: korki i koszulkę - najczęściej, co nikogo nie zdziwi, w barwach Śląska Wrocław. Habit to moja „codzienna zbroja”, ale na murawie potrzebowałem swobody. Choć, nie przeczę, zdarzało mi się zagrać mecz w habicie: wtedy widok zakonnika biegającego w habicie zawsze budził na twarzach kibiców oglądających mecz szczery uśmiech.

Na boisku emocje sięgają niekiedy zenitu, bywa nerwowo. Czy zdarzyło się ojcu w czasie meczu „rzucić mięsem”? (uśmiech) Jestem człowiekiem z krwi i kości. Kiedy ktoś mnie faulował albo traciliśmy bramkę przez głupi błąd, czułem taką samą sportową złość, jak każdy inny zawodnik. Adrenalina robi swoje. Jednak formacja zakonna nauczyła mnie trzymać język na wodzy. Zamiast przekleństwa, częściej pod nosem mruczałem krótkie: „Panie Boże, daj mi cierpliwość” albo po prostu ciężko wzdychałem.

A czy zdarzało się ojcu źle pomyśleć o zawodniku z przeciwnej drużyny?

Przez ułamek sekundy pewnie tak, ale starałem się to od razu gasić. Po faulu wolałem podać rywalowi rękę i pomóc mu wstać. To był mój najważniejszy „mecz” - żeby nawet w ferworze walki nie przestać widzieć w drugim człowieku brata.

Oj, żeby tak każdy piłkarz zachowywał się na boisku jak ojciec, to mecze by wyglądały zupełnie inaczej... Mówi ojciec, że już nie grywa, ale na mecze nadal chodzi. Lubi to ojciec?

Dla mnie stadion to nie tylko miejsce sportowej rywalizacji, ale przede wszystkim miejsce spotkań z ludźmi. Jako kapelan nie jestem tam tylko po to, by oglądać grę, ale by być blisko zawodników i kibiców. Emocje, które towarzyszą meczom, są

niezwykle szczerze - tam nie ma miejsca na udawanie. Lubię tę energię, moment, gdy cały stadion oddycha tym samym wydarzeniem. To dla mnie przedłużenie posługi - bycie tam, gdzie są ludzie, w ich radościach i smutkach.

Co jest w tym fascynującego?

Nieprzewidywalność i wspólnota. W piłce nożnej, tak jak w życiu, dopóki piłka w grze, wszystko jest możliwe. Widzę w sporcie piękną metaforę duchowości: dyscyplinę, dążenie do celu, podnoszenie się po porażkach. Fascynuje mnie też to, jak sport potrafi łączyć pokolenia - na trybunach widzę dziadków z wnukami, co przypomina mi moje własne dzieciństwo. To niesamowite, jak jeden klub może stać się sercem całego miasta.

Pamięta ojciec pierwszą wizytę w szatni?

Doskonale pamiętam. Szatnia jest dla zawodników sacrum, strefą najwyższego skupienia. Przyjęto mnie bardzo życzliwie, choć z początku czuć było zaciekawienie nową sytuacją. Szybko jednak zrozumieliśmy, że nie jestem tam od oceniania czy wywierania presji. Stałem się kimś, przed kim mogą się otworzyć nie tylko jako piłkarze, ale przede wszystkim jako mężowie, ojcowie itp.

Na czym polega rola kapelana drużyny piłkarskiej?

To przede wszystkim bycie „bratem” dla każdego w klubie - od zawodników i sztabu, aż po pracowników administracji. Kapelan się nie narzuca, on towarzyszy. Chcę być jak latarnia: nie steruję statkiem, ale wskazuję światło, gdy robi się ciemno. Moja obecność na stadionie przypomina, że poza wynikiem sportowym i tabelą istnieje jeszcze inny wymiar życia: ludzki, duchowy i wieczny.

Czy jest też ojciec spowiednikiem i powiernikiem?

Tak, pełnię obie te role. Sakrament pokuty to fundament, ale często wszystko zaczyna się od zwykłej rozmowy. Jestem powiernikiem tajemnic, których piłkarze nie zawsze mogą wyjawiać trenerowi czy kolegom z drużyny. W świecie wielkich pieniędzy i ogromnej presji potrzebują kogoś, kto nie będzie ich oceniał przez pryzmat strzelonych bramek czy błędów na murawie, ale spojrzy na nich po prostu jak na drugiego człowieka.

Radzi ojciec na przykład, jak lepiej żyć?

Staram się nie tyle dawać gotowe recepty, co inspirować do szukania głębszych wartości. Piłkarze to często młodzi ludzie, którzy stają przed wielkimi pokusami i wyzwaniem. Rozmawiamy o tym, jak budować trwałe relacje, jak być do brym mężem czy ojcem oraz

Czy piłkarze często grzeszą? Z jakich zachowań kibice powinni się spowiadać? Z jakimi problemami przychodzą do księdza sportowcy? O tym mówi o. Wiesław Dudek, franciszkanin, kapelan Śląska Wrocław

Robert Migdał



O. Dudek: Patrzę na kibiców przede wszystkim jak na ludzi, którzy mają ogromną pasję

PAN BÓG NIE JEST SĘDZIĄ PIŁKARSKIM ANI BUKMACHEREM

jak zachować pokorę w sukcesie i godność w porażce. Pokazuję im, że bycie „wartościowym zawodnikiem” to nie tylko technika, ale przede wszystkim silny kręgosłup moralny.

Piłkarze szukają u ojca wsparcia i pocieszenia w trudnych chwilach?

Sport to sinusoida - raz jesteś na szczycie, raz na dnie. W trudnych chwilach, takich jak ciężkie kontuzje, koniec kariery czy kryzysy osobiste, wiara staje się dla nich ogromnym oparciem. Także kibice podchodzą do mnie, prosząc o modlitwę w intencji swoich rodzin. Nie „czaruję” rzeczywistości - nie obiecuję, że modlitwa zapewni wygraną 3:0. Obiecuję za to, że Bóg daje siłę, by przejść przez każdą, nawet najtrudniejszą

życiową rozgrywkę. Daję im nadzieję, która wykracza poza końcowy gwizdek.

Zdarza się, że ojciec - jako fan Śląska - modli się o... zwycięstwo Śląska?

Często słyszę to pytanie i zawsze odpowiadam z uśmiechem: „Pan Bóg nie jest sędzią piłkarskim ani bukmacherem”. Gdybym modlił się o wynik 1:0 dla nas, a kapelan drużyny przeciwnej o ich wygraną, to co miałyby zrobić Pan Bóg? Moja modlitwa ma inny kierunek. Modlę się przede wszystkim o zdrowie i bezpieczeństwo, by nikt nie doznał kontuzji, bo dla piłkarza nogi to narzędzie pracy i utrzymania rodziny. O ducha czystej gry - by zawodnicy potrafili szanować przeciwnika i sędziego nawet w naj-

wiekszych emocjach. O dobre wykorzystanie talentu - proszę Boga, by potrafili pokazać na boisku to, co wypracowali na treningach, by ich trud przyniósł owoce. Oczywiście jako kibic całym sercem chcę, żeby Śląsk wygrywał, ale jako kapelan wiem, że wynik na tablicy to nie wszystko. Czasem porażka uczy pokory i buduje charakter mocniej niż łatwe zwycięstwo. Modlę się więc o to, by zawodnicy po meczu mogli spojrzeć w lustro i powiedzieć: „Dałem z siebie wszystko - jako człowiek i jako sportowiec”.

A piłkarz może się modlić do Boga: „Panie Boże, proszę, żebyśmy my wygrali, a oni przegrali”?

Modlić można się o wszystko, bo Pan Bóg chce słuchać o tym,

co mamy w sercu - nawet o naszych najbardziej dziecięcych pragnieniach. Jednak Bóg to nie automat do spełniania życzeń, a stadion to nie miejsce, w którym Pan wybiera sobie ulubieńców. Tłumaczę to w prosty sposób: Bóg kocha też „tamtych”: po drugiej stronie boiska stoją tacy sami młodzi ludzie. Oni też mają rodziny, też ciężko trenowali i pewnie też mają mamę, która modli się o ich wygraną. Czy Pan Bóg miałby kochać nas bardziej tylko dlatego, że mamy inne barwy na koszulkach?

Słyszałem, że ojciec radzi sportowcom: módl się „za kogoś”, a nie „przeciw komuś”.

Bo modlitwa o czyjąś porażkę podsyta jest niechęcią, a Bóg jest miłością. Dlatego uczę zmiany intencji: zamiast „Niech oni przegrają”, mówmy: „Panie Boże, daj nam być dziś lepsi - mi od nich, pozwól nam w pełni wykorzystać nasze szanse”. Wynik to sprawa ludzka: Panu Bogu bardziej zależy na tym, jakimi ludźmi zjedziemy z boiska niż na tym, co pokaże tablica wyników. Często powtarzam: „Módl się o siłę do walki, a o wynik powalcz nogami”. Podsumowując: prosba „Panie, spraw, byśmy wygrali” jest ludzka i piękna w swojej pasji. Ale modlitwa o to, by inni przegrali, jest już niepotrzebna. Pan Bóg nie kibicuje przeciwko nikomu. On kibicuje nam wszystkim, byśmy w tym sportowym trudzie stawiali się lepszymi ludźmi. Pamiętam, gdy jako dziecko w Nowej Sarzynie sam o to prosiłem przed meczem Unii. Ale z czasem, przez lata spędzone w zakonie, zrozumiałem, że Pan Bóg ma ważniejsze zadania niż pilnowanie, do której bramki wpadnie piłka. On pilnuje przede wszystkim tego, żebyśmy w tym wszystkim nie zgubili serca.

Wielu piłkarzy głośno mówi o swojej wierze w Boga, wchodząc na murawę - robią znak krzyża, gdy strzela gola, pokazując palcem do góry, dziękując Bogu. Jak ojciec patrzy na gesty religijne na boisku?

Widzę te gesty często i patrzę na nie z dużym szacunkiem, ale i duszpasterską czujnością. Dla wielu zawodników - zwłaszcza z Ameryki Południowej czy Afryki, ale i dla wielu naszych rodaków - znak krzyża przed gwizdkiem to nie rutyna czy talizman, lecz akt zawierzenia. To krótka modlitwa: „Panie Boże, oddaję Ci ten czas, chroń mnie i daj mi siły”. To publiczne przyznanie, że nie wszystko zależy od mięśni i techniki. Tłumaczę jednak, że te gesty muszą iść w parze z życiem. Znak krzyża na boisku zobowiązuje do tego, by po faulu nie przeklinać i nie traktować przeciwnika jak wroga. Cieszy mnie, gdy wiara

nie jest ukrywana. W dzisiejszym świecie ci młodzi, wysportowani ludzie pokazują, że wiara to nie słabość, lecz fundament. To też sygnał dla kibiców – gest idola może być impulsem do pomyślenia o własnej relacji z Bogiem. Często mówię: „Żegnaj się nie po to, żeby wygrać, ale po to, żebyś pamiętał, dla kogo grasz”. Stadion to specyficzna „parafia” – ma swoją liturgię, pieśni i emocje. Moim zadaniem jest dbać o to, by w tym zgiełku nikt nie zapomniał o tym, co najważniejsze o człowieczeństwie i o tym, że po każdym meczu Pan Bóg czeka na nas z tą samą miłością.

Jak wygląda taki „zwykły dzień” kapelana drużyny piłkarskiej? Rozmawia ojciec ze sportowcami tylko o sporcie? Jako franciszkanin mam oczywiście swoje obowiązki zakonne w klasztorze, ale kiedy jestem w klubie, mój czas należy do nich. Zwykle pojawia się na Oporowskiej – to najlepszy moment, żeby zamienić z kimś kilka słów „w biegu”. Nie zawsze są to rozmowy o teologii. Czasem rozmawiamy o rodzinie, o tym, jak dzieci rosną albo o zwykłych troskach. Moim zadaniem jest „bycie pod ręką”.

Piłka nożna, kibicowanie, to nie tylko czysta gra, z zasadami, z miłością do bliźniego. Część kibiców to „kibole”, których zachowanie – delikatnie mówiąc – bywa kontrowersyjne... Moje podejście opiera się na franciszkańskim hasle „Pokój i Dobro”. Na stadionie spotykam cały przekrój społeczeństwa – od rodzin z dziećmi po grupy kibiców bardzo żywiołowych, a czasem, jak to pan ujął, kontrowersyjnych. Nigdy nie odwracam od nich wzroku. Patrzę na kibiców przede wszystkim jak na ludzi, którzy mają ogromną pasję. Ta pasja bywa czasem nieoszlifowana, wyrażana w sposób gwałtowny, ale to wciąż wielkie zaangażowanie serca. Moja rola nie polega na pełnieniu funkcji policjanta czy moralizatora, który grozi palcem. Staram się być dla nich świadectwem – moją obecnością, spokojem, uśmiechem. Często podchodzą do mnie ludzie, których na pierwszy rzut oka nikt by o religijność nie podejrzewał. Proszą o błogosławieństwo, o modlitwę za kogoś bliskiego w szpitalu albo po prostu chcą uściśnąć dłoń. Pod tymi „groźnymi” barwami klubowymi często kryją się wrażliwi ludzie z bagażem trudnych doświadczeń.

Wielu „kiboli” jest agresywnych, wulgarnych... Nie popieram agresji czy wulgaryzmów – to jasne. Ale wierzę, że Ewangelia ma docierać wszędzie, nie tylko do grzesznych osób w ławkach kościel-

nych. Jeśli moja obecność na stadionie sprawi, że choć jeden kibic przez chwilę pomyśli o Bogu albo powstrzyma się od złego słowa, to znaczy, że warto tam być. Stadion to miejsce wielkich emocji, a ja jestem tam po to, by te emocje miały szansę spotkać się z duchowym pokojem.

Mówi ojciec, że jest powiernikiem, a dla wielu spowiednikiem... Z jakimi problemami przychodzą piłkarze i kibice? Problemy piłkarzy nie różnią się tak bardzo od problemów każdego z nas, tylko skala presji jest inna. Najczęściej przychodzą z troskami rodzinnymi. Sportowiec to nie robot. Jeśli w domu dzieje się coś złego, na boisku to widać. Kolejny temat to lęk przedprzyszłością. Kariera piłkarza jest krótka i jedna kontuzja może zmienić wszystko. Przychodzą z pytaniami: „Co dalej, Ojcze? Kim jestem, jeśli nie będę mógł grać?”. Wtedy moją rolą jest przypomnienie im, że ich wartość nie zależy od sprawności nóg, ale od tego, jakimi są ludźmi.

Czy piłkarze często grzeszą? Piłkarze to ludzie tacy sami, jak my – nie są ani większymi świętymi, ani większymi grzesznikami niż reszta społeczeństwa. Ich słabości często wynikają z ogromnej presji i emocji, które są nieodłącznym elementem tego zawodu. Bywa to gniew na boisku, pycha w chwilach wielkich sukcesów czy paraliżujące zwątpienie w trudnych momentach. Żyją w świecie wielkich pieniędzy i jeszcze większych pokus, co na pewno nie ułatwia drogi do świętości. Jednak każdy z nich, tak jak każdy z nas, toczy codzienną walkę o to, by po prostu być lepszym człowiekiem.

A często spowiadają się ze swoich grzechów? Jako księdzę obowiązuje mnie bezwzględna tajemnica spowiedzi, więc o szczegółach i statystykach mówić nie mogę. Powiem jednak tak: sakrament pokuty jest naturalnie obecny w życiu klubu. Są zawodnicy, którzy czują potrzebę regularnego oczyszczenia serca, szczególnie przed ważnymi wydarzeniami w życiu osobistym. Bardzo często jednak wszystko zaczyna się od zwyczajnej rozmowy. Czasem taka „spowiedź” odbywa się nie w konfesjonale, lecz podczas spaceru czy w zaciszu klubowych pomieszczeń. To są te wyjątkowe momenty, gdy piłkarze zdejmują maski „twardzieli” i stają w pełnej prawdzie przed Bogiem i samym sobą.

Rozmawia z nimi ojciec o Bogu? O wierze? Rozmawiamy o Bogu, który nie jest sędzią z gwizdkiem, ale miłosiernym Ojcem. Często py-

tają: „Dlaczego mnie to spotkało?” – np. przy kontuzji – albo „Jak mam wybaczyć komuś, kto mnie skrzywdził”? Moim zadaniem jest pokazać im, że wiara to nie jest zbiór zakazów, ale siła, która pomaga przetrwać najgorszy mecz życia. Pan Bóg kocha ich tak samo, gdy strzelają hat-tricka i gdy strzelają samobójczą bramkę.

A w czasie tych rozmów kapelan – piłkarz, jakie ojciec daje rady sportowcom? Moja „tatyka” dla nich opiera się na trzech prostych radach. Po pierwsze: pokora. Pamiętaj, skąd przyszedłeś. Dzisiaj nosisz drogą koszulkę, ale kiedyś byłeś chłopcem z małego miasteczka, który marzył o piłce. Sukces jest ulotny, charakter zostaje na zawsze. Po drugie: dyscyplina ducha. Tak jak trenujesz ciało, trenuj też duszę. Modlitwa to taki trening mentalny, który daje spokój, jakiego nie kupisz za żadne pieniądze. Po trzecie: wierność. Bądź wierny barwom, ale przede wszystkim bądź wierny swoim wartościom, rodzinie i Bogu. Na końcu kariery nikt nie będzie cię pytał o statystyki, ale o to, jakim byłeś mężem, ojcem i kolegą z szatni. Powtarzam: „Grajcie tak, żebyście po meczu nie musieli się wstydzić przed Bogiem, kibicami i samym sobą”.

Rozmawiacie też o problemach, z jakimi borykają się piłkarze w życiu prywatnym? Najczęściej zawodnicy potrzebują wsparcia w sprawach, o których kibice nie mają pojęcia. Pod markową koszulką kryją się te same lęki, co u każdego z nas. Przychodzą, gdy w rodzinie dzieje się coś trudnego: choroba bliskiej osoby, kryzysy małżeńskie czy trudności wychowawcze. Sportowiec na emigracji (a mamy wielu obcokrajowców) często czuje się samotny w swoich problemach. Przychodzą, gdy tracą poczucie własnej wartości. W świecie sportu jesteś tak dobry, jak twój ostatni mecz. Gdy forma spada, pojawia się ogromny lęk i pytanie: „Kim jestem, jeśli nie idzie mi w piłkę?”. Wtedy należy pomóc im odnaleźć fundament w Bogu, który kocha ich za to, kim są, a nie za to, jak grają.

Co na stadionie i poza nim jest grzechem? Bo przecież słyszymy wiele razy, jak wyglądają mecze i czas przed nimi i po nich: ustawki kibiców, bicie innych, wyzywanie np. „Arka Gdynia (ku...a) świnią”, palenie rac na stadionach? Sprzedawanie meczów? Ewangelia nie przestaje obowiązywać po przejściu przez stadionowy kołowrotek. Grzechem jest po prostu to, co uderza w drugiego człowieka i niszczy szacunek. Na co najczęściej zwracam uwagę? Przede wszystkim na przemoc i agre-

sję. „Ustawki” czy bicie kogoś to jawneapreczenie miłości bliźniego. Narażanie zdrowia – swojego i innych – dla „honorowych” bójek niszczy ducha sportu, który przecież powinien nas łączyć, a nie dzielić. Po drugie, na wulgaryzmy i nienawiść, bo słowo ma ogromną moc. Można dopingować „za” swoją drużyną całym sercem, nie będąc przy tym wulgarnym wobec rywala. Wyzwiska to grzech języka, który zamiast budować wspólnotę, sieje niepotrzebną niechęć. Po trzecie, na brak odpowiedzialności. W przypadku rac kluczowe jest bezpieczeństwo. Jeśli ich użycie łamie prawo i stwarza realne zagrożenie dla ludzi na trybunach, to narażanie bliźniego na niebezpieczeństwo staje się problemem moralnym. Bycie kibicem to piękna pasja, ale w tym wszystkim najważniejszy jest człowiek. Moim zadaniem jest przypominać, że szacunek do drugiego, nawet w innym szaliku, to fundament – zarówno w sporcie, jak i w wierze.

Co ojciec mówi takim „kibolom”, którzy w nosie mają te zasady? Moje przesłanie jest proste: nie zostawiacie sumienia przed bramą stadionu. Można być fanatycznym kibicem i kochać Śląsk Wrocław całym sercem, ale w tym wszystkim trzeba najpierw pozostać człowiekiem. Jeśli Twoja pasja sprawia, że w Twoim sercu rodzi się czysta nienawiść do kogoś tylko dlatego, że nosi inny szalik, to jest to moment, w którym musisz się zatrzymać. Bo miłość do klubu nigdy nie powinna być silniejsza niż szacunek do drugiego człowieka.

A jak już kibice zgrzeszą, to za co mogą nie dostać rozgrzeszenia? W Kościele nie istnieje „czarna lista” grzechów stadionowych, które są niewybaczalne. Bóg jest gotowy wybaczyć wszystko, bo Jego miłosierdzie nie ma granic. W sakramencie pokuty bariera nie leży po stronie Boga, ale czasem po stronie człowieka. Jako spowiednik nie mogę udzielić rozgrzeszenia nie z powodu ciężaru winy, ale wtedy, gdy brakuje trzech fundamentów szczerego nawrócenia: np. brak żalu w sercu, jeśli ktoś np. mówi: „Pobiłem człowieka i zrobiłbym to jeszcze raz, bo na to zasłużył”, zamyka drogę Bożej łasce. Sakrament nie może się dokonać, jeśli nie ma w nas uznania, że wyrządzone zło po prostu było złem. Po drugie, brak woli zmiany: spowiedź to nie „czyszczenie licznika”, by móc zacząć grzeszyć od nowa. Jeśli ktoś traktuje to jak rytuał, a w sercu już planuje kolejne akty nienawiści czy przemocy, brakuje tu szczerego postanowienia poprawy. To musi być decyzja o powrocie na dobrą drogę. I po trzecie, gdy

jest brak chęci naprawienia szkody u kogoś, kto zgrzeszył. To kluczowy moment, także w kontekście stadionu. Nie można szczerze powiedzieć „przepraszam Boga”, nie chcąc naprawić tego, co się zniszczyło. Warunkiem doświadczenia Bożego Miłosierdzia jest chęć zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy. Zawsze powtarzam: „Pan Bóg nie potrzebuje naszych idealnych życiorysów, potrzebuje tylko naszych szczerych serc”.

Czy zawodowe granie w piłkę może bardziej zbliżyć do Boga, czy od niego oddalać? Chodzi mi np. o pokusy związane z bogactwem, bycie gwiazdą, która wielbią tłumy? To pytanie o to, jak człowiek radzi sobie z ciężarem sukcesu. Moim zdaniem zawodowy sport to potężne rekolekcje w przyspieszonym tempie – może zarówno wynieść człowieka na szczyty duchowości, jak i stać się pułapką. Pokusy są ogromne i nie ma co tego ukrywać. Wielkie pieniądze w bardzo młodym wieku, poczucie bezkarności, bycie „idolem”, któremu kłaniają się tłumy – to wszystko karmi pychę. A pycha to pierwszy krok do tego, by uznać, że Pan Bóg nie jest mi do niczego potrzebny, bo sam jestem bogiem na boisku. Taki blask fleszy bywa oślepiający i sprawia, że człowiek traci z oczu to, co naprawdę ważne. Z drugiej strony, sport uczy pokory i dyscypliny jak mało co. Piłkarz co tydzień staje przed sądem opinii publicznej. Jednego dnia jesteś wielbiony, drugiego – po jednym błędzie – wygwizdany. To brutalnie uczy, że chwała ludzka jest ulotna. Wielu zawodników właśnie w tym doświadczeniu „pustki” sukcesu odnajduje Boga. Widzą, że ani drogi samochód, ani tysiące lajków nie dają spokoju serca, który daje modlitwa. To – jak zachowuje się piłkarz, który osiągnął sukces – to sprawa bardzo indywidualna, ale zależy głównie od dwóch rzeczy. Po pierwsze od tego, „co wyniósł z domu”. Jeśli chłopak wyniósł z rodziny – tak jak ja z moich stron na Podkarpaciu – wartości, szacunek do pracy i drugiego człowieka, to „sodówka” rzadziej uderza mu do głowy. Po drugie, od otoczenia, w którym żyje, z kim się spotyka na co dzień. Dlatego tak ważna jest rola kapelana. Staram się być dla nich „kotwicą”. Przypominam im: „Dzisiaj jesteś gwiazdą, ale przed Bogiem jesteś takim samym człowiekiem, jak ten pan, który sprząta trybuny”. Pieniądze i sława to tylko narzędzia. Możesz ich użyć, by zbudować mur wokół siebie albo by zbudować coś dobrego dla innych. Piłka nożna to dar, talent od Boga – pytanie tylko, czy będziesz wielbił ten dar, czy dawcę tego daru.

Ostatnie tragiczne wydarzenie – śmierć trenera Jacka Magiery – to czas, w którym piłkarze, kibice potrzebują większego, duchowego wsparcia? Rady? Pociśnienia? Nagłe odejście „Magica” wstrząsnęło nami wszystkimi. Widzę tę żalobę wszędzie. Szanuję każdy sposób przeżywania tej straty, ale czuję, że w obliczu takiej tragedii bardziej niż medialnej przepychanki o to, kto znał Jacka bardziej i lepiej, potrzebujemy dziś ciszy i modlitwy. Ja wybieram cień. Moim zadaniem nie jest budowanie pozycji na tej tragedii, lecz towarzyszenie tym, którzy w spokoju szukają pocieszenia. Jacek ufał Bogu bez wystawiania wiary na pokaz i to jest jego testament: żyć tak, by być dumnym ze swojego człowieczeństwa. Jako kapelan chcę po prostu przy nich być. Chcę, by ta lekcja kruchości życia umocniła w nas braterstwo. Wrocław i Warszawa pożegnały go z honorami, a my – w ciszy serc – musimy nieść dalej to, w co Jacek wierzył najbardziej: siłę dobrego słowa i dialogu.

Czy pamięta ojciec najbardziej poruszającą rozmowę z piłkarzem, kibicem, trenerem – taką, którą do dzisiaj ojciec pamięta? Przez lata było ich wiele, ale jedna szczególnie zapadła mi w pamięć. Odwiedził mnie w klasztorze zawodnik, który, będąc u szczytu sławy, wewnętrznie czuł się kompletnie rozbity. Usiedliśmy w ciszy, a on po chwili wyznał: „Ojcze, wszyscy widzą we mnie idola, a ja czuję się jak oszust, bo w domu sobie nie radzę”. Pod maską sukcesu krył się lęk przed rozpadem rodziny i poczucie winy, że kariera odebrała mu to, co najdroższe. Płakaliśmy wtedy razem. To nie była rozmowa o taktyce, ale o fundamentach życia – o tym, że brawa na stadionie nie ulecza ran w sercu. Zrozumiałem wtedy jeszcze mocniej, że jestem po to, by przypominać tym chłopakom, że są ludźmi, a nie produktami marketingowymi. Do dziś pamiętam ulgę na jego twarzy, gdy po spowiedzi pojął, że Bóg daje mu szansę stać się przede wszystkim dobrym mężem i ojcem, a nie tylko świetnym piłkarzem.

A jakaś rozmowa z kibicem, którą ojciec wspomina? Pamiętam poruszające spotkanie z ojcem, który na stadion przyszedł nie dla wyniku, lecz by poczuć bliskość zmarłego syna. „Tylko tutaj czuję, że on wciąż ze mną jest” – wyznał. Ta wspólna, cicha modlitwa na pustych jeszcze trybunach uświadomiła mi, że dla wielu to miejsce niemal sakralne, przepełnione osobistymi historiami.

W książce „Święto Karkonoszy” zbrodnia nie jest najważniejsza. Najważniejsi są ludzie i ich losy w świecie, w którym jedni odchodzili, a drudzy próbowali nauczyć się mówić o cudzym miejscu: mój dom

Anita Czupryn

SŁAWOMIR GORTYCH: DOM BEZ HISTORII NIE BYŁBY PRAWDZIWYM DOMEM

Jako pisarz i mieszkaniec Dolnego Śląska, zna pan odpowiedź na pytanie, kiedy obce miejsce staje się domem?

Oswajanie obcego miejsca aż do momentu, gdy będzie można o nim powiedzieć „mój dom” to proces tak indywidualny i mocno zależny od wielu środowiskowych zmiennych, że nie będę w stanie podać jednej uniwersalnej odpowiedzi na pytanie „kiedy?”. I mówię to zwłaszcza jako mieszkaniec Dolnego Śląska. Znam bowiem rodziny, które o tej ziemi z pełnym przekonaniem mówiły „mój dom” już w pierwszym pokoleniu, a są takie, w których nastąpiło to dopiero w kolejnym lub kolejnych pokoleniach. Znów - spoglądając z dolnośląskiej perspektywy - myślę, że dużo zależy od historii i indywidualnych doświadczeń człowieka, który przybył w „obce” miejsce. Inaczej bowiem będzie je oswajał ten, kto został tu przesiedlony wbrew własnej woli albo ten, kto w czasie wojny doznał jakichś krzywd z niemieckich rąk - taki ktoś z dużą dozą prawdopodobieństwa do końca życia nie zaakceptuje w pełni nowego miejsca. Ten zaś, kto przyjechał tu dobrowolnie, kto przyjął propagandę o „powrocie do macierzy” piastowskich ziem - oswoi nowy dom łatwiej.

Pana najnowsza książka „Święto Karkonoszy” opowiada o zbrodni i tajemnicy, ale też pisze pan o tym momencie, kiedy ludzie przychodzą na cudzą ziemię i próbują nazwać ją domem. Co dla pana było najważniejsze: zbrodnia, historia czy ludzie? Nie zwykłem rozdzielać ludzi od historii, bo według mnie to

nie są niezależne pojęcia. Nie ma ludzi bez historii i historii bez ludzi, zatem: dla mnie najważniejsza jest historia ludzi. Zbrodnia pojawia się w tle. Nie mówię, że jest nieistotna, natomiast w koncepcji moich książek nie stanowi ona głównego wątku. Chodziło mi bowiem o to, żeby Czytelnik nie sięgał po powieść wyłącznie po to, by odpowiedzieć na pytanie „kto zabił”, ale po to, by poznać historię, która w znacznej mierze oparta została na prawdziwych wydarzeniach. Zbrodnia stanowi więc dla mnie przyczynek do przedstawienia znacznie większej i szerszej opowieści - w przypadku „Święta Karkonoszy” jest to historia dwóch pokoleń, które spotkały się na Dolnym Śląsku w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku: ostatniego pokolenia mieszkających tu Niemców, których czekało wysiedlenie i pierwszego pokolenia Polaków, którzy przyjeżdżali zajmować ich domy. Takie zjawisko - bezprecedensowa w swojej skali i prędkości wymiana ludności całego regionu - jest z punktu widzenia pisarza niesamowicie bogatym źródłem refleksji. Zarówno tych przerażających i smutnych, jak i tych krzepiących, niosących nadzieję.

Co było pierwszym impulsem do napisania tej powieści?

Trafiłem na spisane przez pewnego wopistę wspomnienia przygód, jakie spotkały go w Karkonoszach w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej. Była to niesamowicie inspirująca lektura. Czym innym jest bowiem czytać historyczne opracowania o tym, jak wyglądało życie

na Dolnym Śląsku w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku i później, a czym innym spojrzeć na ten okres oczami konkretnej jednostki. Przeczytać o tym, co w tamtym czasie takiego nowo przybyłego na te ziemie osadnika cieszyło, czego się obawiał, z jakimi problemami przyszło się mu mierzyć. Wkrótce potem sięgnąłem więc do lektury wspomnień innych Polaków, którzy przybyli w Karkonosze tuż po wojnie i zaczął mi się z tego wyłaniać niesamowicie ciekawy, a jednocześnie bardzo różnorodny, momentami rzeźbiony nawet: niespójny obraz tamtych lat. Oczywiście, pewne wątki przewijały się przez wspomnienia bardzo wielu osób i można powiedzieć o nich, że były wspólne. Zdawały się jednak też refleksje bardzo odmienne, mimo iż traktujące te same tematy. Jedną z takich spornych spraw było chociażby pojęcie domu, od którego zaczęliśmy rozmowę. Niektórzy Polacy pisali, że gdy w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku przybyli do Hirschbergu, przyszłej Jeleniej Góry, czuli tu „polskość” bijącą niemal z każdego zakamarka. Inni zaś twierdzili, że przez wiele lat wciąż czuli się tu obco i niepewnie. I to chyba najlepszy dowód na potwierdzenie

tezy, że osvajanie jest procesem bardzo indywidualnym. Ale - podsumowując - to właśnie ta różnorodność wspomnień była dla mnie jeszcze silniejszym impulsem, żeby opowiedzieć o tamtych latach. Bo to było pisarskie wyzwanie. Opisać coś, co we wspomnieniach ludzi jest spójne i jednorodne - to nie jest wielkim problemem. Zmierzyć się natomiast z czasami, które, zależnie od punktu widzenia, są wspominane w tak różny sposób, oddać całą paletę barw i opinii - to już nie było takie proste. Ale w pisaniu właśnie o to chodzi, żeby za prosto nie było.

W posłowie pisze pan, że „Święto Karkonoszy” zrodziło się z potrzeby opowiedzenia o losach pokolenia pradziadków, którzy przybyli na te tereny po wojnie. Napisal pan tę powieść, żeby nie zapomnieć o prawdziwym charakterze tego miejsca?

Napisałem tę powieść po to, żeby tę historię odkryć przed czytelnikami, którzy mogli nie tyle o niej zapomnieć, co zwyczajnie nigdy o niej wcześniej nie słyszeć.

Na ile pańska własna rodzinna czy osobista relacja z Dolnym Śląskiem wpływa

na to, jakie historie wybiera pan do opowiedzenia i z jakiej perspektywy na nie patrzy?

Wpływa w sposób zasadniczy, piszę wszak o miejscu, które uważam za swój dom. Idzie za tym z jednej strony pewna swoboda pisania (nikt nie zarzuci mi, że nie znam lub nie rozumiem tematyki, którą poruszam, bo „nie jestem stąd”), a z drugiej duża odpowiedzialność, bo skoro piszę o własnym domu, czyli tym, co jest dla mnie najwyższą świętością, nie mogę sobie pozwolić na historyczne niedopatrzienia, fabularne nieścisłości czyli kolokwialnie mówiąc „prześlizgnięcie się po temacie”.

Czy w tej książce musiał pan coś przemilczeć, chociaż kuśilo pana, aby więcej opowiedzieć?

Nigdy nie zdarzyło mi się w tej ani żadnej innej książce czegośkolwiek przemilczeć. Wychodzę z założenia, że - choć opowiadam o naprawdę trudnych czasach i jest w tej historii wiele elementów bolesnych czy nadal nieco tabuizowanych - moje pisanie nie miałooby sensu, gdybym coś próbował przemilczeć. Przemilczenie wyklucza szczerść - a szczerść leży u podłoża moich książek. I pewnie ta szczerść jest powodem kontrowersji, które czasem wokół tych powieści się pojawiają - piszę przecież o historii Dolnego Śląska, a jest to historia, w której spleta się wiele wątków polskich, niemieckich i czeskich. Zrozumienie tego, że Dolny Śląsk, wbrew temu, co chcieliby widzieć niektórzy, nie jest ziemią, która ma tylko polską, piastowską historię, ale jest

to region, na której rozwój i krajobraz mocno wpływali przez wieki także Niemcy i Czesi, jest kluczem do stania się w prawdzie i wyzbycia się konieczności „przemilczenia”.

Ma pan poczucie, że ludzie, którzy mieszkają na Dolnym Śląsku, mogą już dziś powiedzieć, że są u siebie, czy nadal jest to region noszący pamięć po dawnych mieszkańcach?

Podejdę do tego z punktu widzenia logiki. Teza zawarta w pytaniu zakłada, że mamy dwie możliwości, między którymi występuje operator logiczny „lub”. To znaczy: prawdą jest, że dziś Dolnoślązacy są u siebie LUB prawdą jest, że nadal żyje pamięć po dawnych mieszkańcach. Ja natomiast uważam, że prawda zachodzi tylko wtedy, gdy obie możliwości są spełnione i jedna wynika z drugiej. To znaczy: dopiero gdy poznamy i zrozumiemy historię naszej ziemi, gdy będziemy pamiętać o dawnych mieszkańcach, gdy to zaakceptujemy, będziemy mogli powiedzieć, że jesteśmy u siebie. Puentując: tak, mam poczucie, że ludzie na Dolnym Śląsku są u siebie - właśnie dlatego, że pamiętają o historii swojej ziemi. Dom bez historii nie byłby prawdziwym domem. I nie miałby przyszłości.

Czy są na Dolnym Śląsku tematy, o których pana zdaniem, wciąż mówi się za mało, albo mówi się o nich zbyt powierzchownie?

Myślę, że Dolny Śląsk przeżywa obecnie renesans, jeśli chodzi o możliwość - i wykorzystanie tej możliwości - by opowiadać o swojej historii.

*BEZPRECEDENSOWA W SWOJEJ
SKALI I PRĘDKOŚCI WYMIANA
LUDNOŚCI CAŁEGO REGIONU
- JEST Z PUNKTU WIDZENIA
PISARZA ŹRÓDŁEM REFLEKSJI*

Powiedział pan kiedyś, że Karkonosze są w pana książkach pełnoprawnym bohaterem.

Co takiego mają te góry, czego nie mają inne miejsca i co najmocniej pana w nich pociąga?

Są to góry o wyjątkowej i bardzo bogatej historii. Odpowiada za to przede wszystkim ich lokalizacja - w samym sercu Europy, u styku wpływów polskich, czeskich i niemieckich, a więc też u styku zupełnie różnych, przez wieki nierzadko walczących z sobą kręgów kulturowych. Dość powiedzieć, że w czasie ostatniego tysiąca lat swojej historii Karkonosze podlegały i stolicy w Krakowie, i w Warszawie, ale też w Berlinie, Pradze czy Wiedniu. Są to góry na tyle dostępne, że ludzie zaczęli osiedlać się w nich i wędrować przez nie już setki, tysiące lat temu, a z drugiej - na tyle potężne i nieprzewidywalne pogodowo, że przez wieki budziły wśród podróżnych szacunek i jednocześnie grozę. I myślę, że ta pozorna sprzeczność - dostępność i jednocześnie niebezpieczeństwa, które czyhały w Karkonoszach na wędrowców - także odpowiada za ich wyjątkowość.

Urodził się pan niedaleko Karkonoszy, właściwie się w nich wychowywał. Pamięta pan swoją pierwszą naprawdę ważną wyprawę w Karkonosze?

Oczywiście. Myślę, że pierwszą ważną wyprawą była, nomen omen, właśnie ta pierwsza. Tata zabrał mnie jako kilkulatek na wędrowkę na Śnieżkę. Pamiętam przede wszystkim poczucie, inności wyprawy w góry od tych spacerów czy wędrowek po nizinach, które znałem dotychczas. Wyprawa w góry - no właśnie - to była wyprawa, prawdziwa przygoda. Wiązała się z wysiłkiem, ale jednocześnie wyjątkową nagrodą w postaci niezwykle widoków z miejsc, które przemierzaliśmy.

W pana domu rodzinnym historia była czymś żywym, obecnym w rozmowach, wspomnieniach, rodzinnych opowieściach? Czy sam musiał pan nauczyć się jej słuchać i ją wydobywać?

Szczęśliwie, historia w moim domu była czymś naprawdę żywym. I to chyba sprawiło, że zainteresowałem się nią już w przedszkolu - i stała się jedną z moich najważniejszych i nieprzemijalnych pasji. Na tyle, że nawet doświadczenia nauki historii w szkole podstawowej nie były w stanie tej pasji zabić (śmiech).

Czego o górach nauczyli pana rodzice?

Przed wszystkim pokazali mi, że to miejsce, w którym na uważnego wędrowca może



Sławek Gortych: Wiem już, że historii do opowiedzenia jest więcej, niż czasu danego mi tu na ziemi. Co nie zmienia faktu, że opowiem tak dużo, jak życie i zdrowie mi będzie pozwalać

czekać naprawdę wiele fascynujących przygód. Trzeba tylko mieć oczy i uszy szeroko otwarte i dać się poprowadzić Duchowi Gór. No - a już tak zupełnie pragmatycznie - nauczyli mnie też, że odpowiedzialny człowiek, ruszając w góry, musi być do wędrowki przygotowany: plecak, zapas ubrań na załamanie pogody, raczki na zimę, kijki, umiejętność oszacowania, czy dana trasa przy danych warunkach pogodowych jest realna i bezpieczna do przejścia.

Co bardziej pana interesuje: te tajemnice, które potwierdzają dokumenty, czy te, które istnieją w pamięci, w cudzych opowieściach?

Interesują mnie jedno i drugie, natomiast najważniejsze są dla mnie te istniejące w pamięci. Mam bowiem poczucie ich ulotności, niejakiej misji, że jeśli je zignoruję, nie umieszczę w ich powieściach, nie opiszę w posłowiach, to być może one przepadną. A są zbyt cenne, bym na to pozwolił.

W posłowiach lubi pan wyjaśniać, co było prawdą, a co fikcją. To ukłon w stronę czytelnika czy chodzi o coś innego?

Po pierwsze, wynika to z poczucia uczciwości względem Czytelnika. Nie chciałem doprowadzić do sytuacji, w któ-

rej ktoś po lekturze będzie musiał oceniać na podstawie własnej intuicji albo, nie daj Boże, AI, które wątki fabuły oparłem na prawdziwych wydarzeniach, a które są wytworem mojej wyobraźni. Moim marzeniem było, aby swoimi powieściami spopularyzować historię, a nie gmatwać w niej i ją zakłamywać, dlatego uważam, że Czytelnikowi, który otrzymał w książce mieszankę prawdy i fikcji, wyjaśnienia się należą. Po drugie, piszę posłowia, by pokazać Czytelnikom, jak bardzo historia Dolnego Śląska jest niezwykła. Założę się bowiem, że gdyby nie posłowia, nie które sensacyjne wątki moich powieści ludzie mogliby uznać za wytwór mojej fantazji. A tak - mają posłowie i mogą zobaczyć: „Wow, to zdarzyło się naprawdę! Ten człowiek rzeczywiście żył, tamten zamach miał miejsce, ten skarb istniał, tamto schronisko wciąż stoi...” A gdy pojawi się takie pozytywne zaskoczenie, wtedy jesteśmy już o krok od obudzenia w człowieku chęci poznawania: Karkonoszy, ich krajobrazów, historii... I o to chodzi!

W Karkonoszach jest jeszcze wiele historii do opowiedzenia. Pan już wie, ile ich jeszcze w sobie nosi?

Przy zbieraniu materiałów do każdej kolejnej powieści za zwyczaj trafiam na różne dodatkowe wątki, niezwykle historie czy biografie. Spisuję je wtedy w swoim zeszycie z pomysłami „do wykorzystania w przyszłości”. Notatek i pomysłów przy każdej kolejnej powieści przybywa tam w tempie wykładniczym, a potem, gdy siadam do tworzenia scenariusza kolejnej książki, ubywa ich w tempie liniowym. W efekcie na tym etapie - gdy oddałem do druku piątą książkę - wiem już, że historii do opowiedzenia jest więcej, niż czasu danego mi tu na ziemi. Co nie zmienia faktu, że opowiem tak dużo, jak życie i zdrowie mi będzie pozwalać.

Czy potrafi pan jeszcze pojechać w Karkonosze i po prostu w nich być, czy to już jest niemożliwe, bo od razu włącza się w panu zawód pisarza?

Od blisko roku mieszkam jedną nogą w Karkonoszach i mam poczucie, że im więcej tu jestem, tym bardziej „jestem”. Szczęśliwie, żaden „zawód” mi się nie włącza.

Wyobraża pan sobie siebie jako autora powieści, gdzie akcja rozgrywana jest nie w Karkonoszach?

Wyobrażam sobie na ten moment, żeby w przyszłości na-

pisać też książkę, której akcja będzie toczyć się gdzieś na Dolnym Śląsku, ale poza Karkonoszami. W innych górach albo na przykład w moim rodzinnym Bolesławcu. Nie wyobrażam sobie natomiast wybrać się gdzieś poza Dolny Śląsk, ale - jeszcze raz podkreślę - nie jest to reguła, której zamierzam trzymać się za wszelką cenę przez całe życie. Może za kilka lat pojawi się taki temat czy pomysł, który sprawi, że odbędę literacki „wypad” poza Dolny Śląsk. Pożyjemy - zobaczymy.

Cieszy pana, że po pana książkach rośnie popularność Karkonoszy, że przyjeżdża tam coraz więcej ludzi?

Oczywiście. Czasem ktoś pyta mnie, czy nie obawiam się, że Czytelnicy zniszczą Karkonosze, że je zadepczą. Odpowiadam wtedy, że tego nie obawiam się ani trochę. Wierzę bowiem, że ten, kto sięgnął po „Schroniska...”, dowiedział się o Karkonoszach na tyle dużo, że przyjedzie tu z szacunkiem do Ducha Gór i świądomością, jak wiele pięknych miejsc - poza Śnieżką, która przeżywa w ostatnich latach zatrząsienie turystów - jest do odwiedzenia. Oraz z wiedzą, jak odwiedzać je mądrze, to znaczy - bezpiecznie przygotowanym do panujących

na szlakach warunków i z szacunkiem do prawdziwego władcy tych gór - przyrody. To, czego nierzadko się obawiam, to zalewu turystów nieświadomych, którzy przyjeżdżają do koszmarnych, wyrastających jak grzyby po deszczu apartamentowców - molochochów. Obawiam się ludzi idących w góry w klapkach, bez mapy, którzy śmieją, są głodni, którzy nie słyszeli o raczkach, a zimą pakują się na zamknięte szlaki, ściągając zagrożenie na siebie i ratowników GOPR, którzy potem muszą ruszać takim ludziom na pomoc. Ale na ten typ „turysty” nie znajduję obecnie żadnego cudownego remedium.

KSIĄŻKA



Sławek Gortych,
„Święto Karkonoszy”,
Wydawnictwo: W.A.B.
Premiera 5 maja

Kiedy Norbert miał cztery lata, lekarze powiedzieli, że nie ma szans na wyjście z choroby. A jednak wyszedł. Dwukrotnie walczył z białaczką, dwukrotnie potrzebował dawcy szpiku kostnego i dwukrotnie znalazł się człowiek, który powiedział „tak”. Jego starszy brat Adrian, zawodowy piłkarz, sam zarejestrował się jako dawca szpiku po tym, gdy na szkolnej prelekcji usłyszał historię własnej rodziny i wybiegł z sali, żeby się wypłakać. Dwa lata później zadzwonił telefon... Rozmawiamy z Anetą Piekarską z Suwałk, matką obu chłopców

Agnieszka Domanowska

JEDEN Z BRACI DOSTAŁ SZPIK OD OBCYCH OSÓB, DRUGI URATOWAŁ ŻYCIE KOMUŚ INNEMU

Jak zaczęła się choroba Norberta?

Miał cztery latka, zaczął kaszleć. Kaszel stawał się coraz bardziej uporczywy, pojawiły się wybroczyny. Trafiliśmy do szpitala, zrobiono wyniki. Okazało się, że syn zachorował na białaczkę limfoblastyczną typu T. Nikt w rodzinie wcześniej na białaczkę nie chorował. To był grom z jasnego nieba. Mam jeszcze dwóch starszych synów - zostali w domu z tatą, który tak naprawdę nigdy wcześniej nie zajmował się domem ani gotowaniem, a ja pojechałam z Norbertem na oddział.

Leczenie od razu było ciężkie?

Od samego początku. Norbert miał w krwi obwodowej bardzo dużo komórek blastycznych. Cały czas nie było remisji - bardzo długo przyjmował kolejne bloki chemioterapii. To był ciężki okres dla nas wszystkich, bo nic nie mogliśmy zrobić. Jako rodzice nie mieliśmy na nic wpływu. Trzeba było czekać, wierzyć, że medycynie uda się te komórki nowotworowe gdzieś zepchnąć, żeby zniknęły. Ta nadzieja była najważniejsza. Dużo się modliłam.

W końcu, po tych licznych chemioterapiach, przyszedł czas na przeszczep.

Tak. Norbert był w remisji, był przygotowany. I wtedy pani profesor przekazała mi wiadomość, że dawca, który miał uratować Norberta, wycofał się... Poczułam straszną złość do świata, do ludzi. Jak



Bracia Adrian i Norbert. Starszy został dawcą szpiku kostnego, młodszy był biorcą

można się wycofać, gdy wcześniej powiedziało się „tak”? Tym bardziej że chodziło o czterolatka, który przyjął już naprawdę ciężkie bloki chemioterapii. Był gotowy na przeszczep, a tu nagle nic. To się trudno opisuje słowami.

Co się wtedy stało?

Musieliśmy przyjąć następny blok chemioterapii, który bardzo osłabił organizm Norberta. Ale na szczęście jest DKMS [Rejestr Dawców Szpiku Kostnego, międzynarodowe centrum dawców szpiku - przyp. red.] i pojawił się drugi dawca. To był Niemiec, miał wtedy 46 lat, zgodność [tkankowa - przyp. red.] 8 na 10. Zgodził się. Pojechaliśmy na przeszczep i powiem, że były to najgorsze dni w moim życiu. Przeszczep przeszedł bardzo ciężko. Dwa i pół miesiąca na izolacji - ciągła sterylizacja, ciągłe warunki ochronne, nieustanne czuwanie. Naprawdę dużo tego było. Ale w końcu Norbert wyszedł z tej izolacji i wrócił do domu.

Nawiązaliście kontakt z tym dawcą?

Wyszliśmy z propozycją spotkania, ale odmówił. Powiedział tylko, że cieszy się, że pomógł. I tyle. Imienia i nazwiska nie znam do dziś. Ale za tę decyzję - za to, że powiedział „tak”, gdy poprzedni powiedział „nie” - będę mu wdzięczna do końca życia.

Wróćmy do rekonwalescencji. To był długi proces?



FOT. A. GRYZA-ANESZKO

Aneta Piekarska z Suwałk z synem Norbertem

Bardzo długi. Przynajmniej dwa razy w tygodniu jeździliśmy na wyniki z Suwałk do Białegostoku. Było to uciążliwe, ale konieczne. Do tego po pierwszym przeszczepie u Norberta wystąpiła hipoglobulinemia, czyli brak przeciwciał. Dostawał wlewy co dwa tygodnie, w brzuch. Lekarz mówił, że w bardzo rzadkich przypadkach organizm regeneruje się na nowo i zaczyna sam produkować przeciwciała - ale to wyjątek, nie reguła. W przypadku Norberta lekarze zapowiadali, że prawdopodobnie do końca życia będzie musiał mieć te wlewy. I przez trzy lata niby wszystko było dobrze. A potem choroba wróciła...

To musiał być drugoczący moment.

Znowu zaczęło się od kaszlu, od jakiegoś zmęczenia. Znowu trafiliśmy na oddział. Znowu ten sam zapach szpitala, znowu białaczka, znowu procedura chemioterapii. Ale Norbert był już starszy, silniejszy - inaczej to znosił. I tym razem było już trochę inaczej. Po bloku chemioterapii w Białymstoku pojechaliśmy na drugi przeszczep - do Bydgoszczy.

Tym razem dawczynią była kobieta z Polski - Kasia.

Tak. Znalazona przez DKMS kobieta z Jasinicy spod Warszawy, zgodność 10 na 10. I słuchajcie, jak już było

po wszystkim, zgodziła się do nas przyjechać. Przyjechała ze swoim chłopakiem do Suwałk na majówkę. Przez trzy dni woziliśmy ją po całej Suwalszczyźnie - byliśmy na Wigrach, w Studzienicznej, wszędzie. Siedzieliśmy razem, rozmawialiśmy, zwiedzaliśmy. Pamiętam, jak przyjechała i Norbert wręczył jej białego anioła z czerwonym sercem. Rozpłakaliśmy się wtedy wszyscy. To są wspomnienia, które na zawsze zostaną w pamięci.

Macie do dziś kontakt?

Tak. Od czasu do czasu, jak jesteśmy w Warszawie, spotykamy się. Zawsze znajdzie się chwila. Kasia to jest nasz anioł, po prostu.

Jak przebiegł drugi przeszczep?

Pan profesor powiedział, że Norbert przeszedł go książkowo - dokładnie 21 dni. I stało się coś, na co chyba nikt do końca nie liczył. Widocznie ten drugi przeszczep był mu do czegoś potrzebny, bo organizm na nowo się zregenerował i zaczął wytwarzać własne przeciwciała - te same, o których mówiono, że Norbert będzie musiał je dostawać do końca życia w postaci wlewów. W tej chwili nie jest na wlewach. Jego organizm sam produkuje komórki, które bronią go przed infekcjami. Profesor powiedział, że to naprawdę wyjątkowe.

A co powiedział lekarz prowadzący?

Powiedział wprost, po całkowitym zakończeniu choroby: Norbert nie miał prawa z tego wyjść. Ten lekarz naprawdę walczył o Norberta. Często zostawał po godzinach - jak ja to mówię, po lekcjach - i studiował jego przypadek, szukał rozwiązań. Stał na wysokości zadania w stu procentach. Ale ja uważam, że czuwał też Pan Bóg. Dałam mu syna w jego ręce. No i potoczyło się jak potoczyło.

Norbert ma teraz dwadzieścia lat...

Jest zdrowy. Skończył szkołę, szuka pracy. Teraz akurat pojechał do Krakowa - do brata Adriana. Przez osiem lat ciężko mu było dochodzić do siebie, ale doszedł. Jak patrzę na niego dzisiaj, to myślę, że jest to po prostu cud.

I właśnie starszy brat Norberta - Adrian - to jest osobna, niesamowita historia.

Adrian jest zawodowym piłkarzem, gra w Puszczy Niepołomice. Zarejestrował się jako potencjalny dawca szpiku po jednej z prelekcji, które prowadziliśmy z Marysią Sienkiewicz z Fundacji Pro-myk. Jeździliśmy po suwalskich liceach i szkołach wyższych i opowiadaliśmy, jak wygląda dawstwo od strony DKMS-u, od strony dawcy, od strony biorcy. Jak pobiera się komórki macierzyste, jak

wygląda rekonwalescencja, czego się bać, a czego nie. Po każdej takiej pogadance z młodzieżą było bardzo dużo rejestracji - młodzi wysyłali swoje wymazy z policzka do DKMS-u.

I jedną z tych szkół, gdzie odbyła się pogadanka o dawcach szpiku, była szkoła Adriana.

Tak. Pamiętam, jak stałam i opowiadałam o całej historii choroby Norberta - jego brata. W pewnym momencie Adrian wyszedł z sali. Wszyscy potem pytali, dlaczego wyszedł. A on się wtedy kompletnie rozkleił. Powiedział do kolegów: „Słuchajcie, to była moja mama”. I poszedł się zarejestrować jako dawca. Oddał wymaz i czekał...

I po dwóch latach zadzwonił telefon z DKMS-u.

Tak, Adrian zadzwonił wtedy do mnie i mówi: „Mamo, nie uwierzysz, co się stało. Dzwonili z DKMS-u, jestem wstępnie zgodny, jadę do Warszawy na badania, mogę komuś uratować życie”. Co może czuć matka, kiedy słyszy coś takiego? Jeden syn dostał szpik od kogoś obcego, a drugi może teraz komuś innemu podarować życie. To jest uczucie nie do opisania.

Pojechał do Warszawy, przeszedł wszystkie badania i?

I okazało się, że może być dawcą, bo jest w pełni zgodny. I że może uratować

życie kobiety za granicą. Tutaj wielki ukłon w stronę DKMS-u - zadzwonili do nas i powiedzieli, że chcieliby, żebyśmy byli przy Adrianie w tym momencie. Zakwaterowanie w gratisie. Pojechaliśmy - ja, mąż i Norbert. Adrian o niczym nie wiedział. Wieczorem zapukaliśmy do jego drzwi. Jak nas zobaczył, powiedział, że czuje ogromne wsparcie - że nie jest sam, że ma przy sobie właśnie Norberta, brata, który wie, co to znaczy dostać czyjś szpik. To było dla niego coś więcej niż wizyta rodziny.

Jak wyglądało samo oddanie komórek?

To był przeszczep z krwi obwodowej - trwał około pięciu, sześciu godzin. Syn był trochę osłabiony. Ale na drugi dzień po oddaniu komórek macierzystych spotkaliśmy się w parku, rozmawialiśmy - była nawet telewizja, nagrania. A potem Adrian pojechał ze swoim najlepszym kolegą do lasu, wszedł na wysoki szczyt, podniósł ręce do góry i krzyknął: „Zrobiłem to!”. Mam gdzieś jeszcze w archiwach zdjęcie z tego momentu. Jak to widzę, to mi się za każdym razem kręca łyzy w oczach.

Czy ludzie boją się dawstwa?

Na pewno się boją. Boją się, że to zaszkodzi ich zdrowiu, że organizm już nie będzie taki jak wcześniej. I mało się o tym mówi - albo mówi się niepre-

czyźnie. Dlatego my chodzimy i tłumaczymy. DKMS w stu procentach organizuje cały proces - nocleg, opiekę, dojazd. Jeżeli jedzie się zostać dawcą, warto wziąć ze sobą kogoś bliskiego, kto wesprze, przywiezie, odwiezie, bo można czuć się trochę osłabionym. Ale rekonwalescencja po pobraniu krwi obwodowej jest naprawdę krótka. Mój syn następnego dnia wszedł na wysoki szczyt i krzyczał z radości. To chyba daje wyobrażenie, o jakim wysiłku mówimy.

To wszystko zmieniło was jako rodzinę?

Zmieniło. Nasz sąsiad też został dawcą, koleżanka też. Dookoła nas to dobro jakoś tak samo się rozchodzi. Ja sama zagłębiłam się w naturalne wspieranie ludzi po chemioterapii i radioterapii - medycyną niekonwencjonalną. Przez osiem lat wspierałam w ten sposób Norberta, kiedy dochodził do siebie, więc ta wiedza gdzieś we mnie została i teraz staram się dzielić nią z innymi. Ile możemy, tyle robimy. Bo my wiemy, co znaczy czekać. I wiemy, co znaczy, gdy ktoś obcy powie: tak, chcę pomóc.

Rejestracja jako potencjalny dawca szpiku możliwa jest przez stronę dkms.pl. Wystarczy zamówić bezpłatny pakiet i odesłać wymaz z policzka.

CZY PIASTOWIE BYLI SŁOWIANAMI? NAUKOWCY ZBADALI ICH DNA

Czy podręczniki do historii będą musiały zostać zmienione? – Na pewno trzeba będzie głęboko przemyśleć, czy to, co jest w nich zapisane, ma jakieś racjonalne uzasadnienie – mówi prof. Marek Figlerowicz, kierownik Zakładu Biologii Molekularnej i Systemowej Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu

Sylwia Rycharska



W sumie badaniami objęto 33 osoby. W przypadku dziesięciu udało się z dużym prawdopodobieństwem potwierdzić ich tożsamość jako Piastów

W kwietniu w prestiżowym czasopiśmie „Nature Communications” opublikowano wyniki badań genetycznych dynastii Piastów. To pierwsze tak szeroko zakrojone przedsięwzięcie, które zamiast rekonstrukcji opartych na domysłach dostarcza twarde dane dotyczące pochodzenia elit tworzących zręby państwa polskiego. Jednocześnie nie przynosi ono prostych odpowiedzi – raczej zmusza do zadania nowych pytań o to, co do tej pory uznawaliśmy za pewnik. Jedno z nich powraca najczę-

ściej: kim byli Piastowie i skąd się wywodzili.

Czy podręczniki do historii do poprawki?

Na pytanie o to, czy wyniki badań wymuszają zmiany w szkolnych podręcznikach, naukowiec odpowiada jasno – choć bez jednoznacznych deklaracji.

– Na pewno trzeba będzie głęboko przemyśleć, czy to, co obecnie jest zapisane, ma jakieś racjonalne uzasadnienie. Wiele przekonań funkcjonujących w świadomości społecznej oraz też stawianych w podręcznikach na temat początków pań-

stwa polskiego, jest raczej swego rodzaju wyobrażeniem i zbiorem życzeń niż opisem opartym na faktach – mówi prof. Figlerowicz.

– Nie mamy żadnych zapisów, które mówiłyby o pierwszych Piastach – skąd pochodzili, czy byli lokalni, czy przybyli z zewnątrz. Dotychczasowe narracje w dużej mierze opierały się na domysłach i scenariuszach dopasowanych do naszych potrzeb i oczekiwań – dodaje.

DNA zamiast domysłów

To jedno z najważniejszych badań dotyczących początków

państwa polskiego w ostatnich latach. Interdyscyplinarny zespół naukowców – genetyków, historyków, archeologów i antropologów z Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN oraz Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu – przez blisko dekadę analizował szczątki

przypisywane pierwszej polskiej dynastii.

Na czele zespołu stał prof. Marek Figlerowicz – inicjator badań i ich kierownik. Pozostali członkowie zespołu to: Michał Zenczak, prof. Luiza Handschuh, dr Małgorzata Marcinkowska-Swojak, dr Ireneusz

Stolarek, Michał Golubiński, dr hab. Anna Juras, Dawid Trzciniński, dr Maciej Chyleński, Artur Dębski, dr Aleksandra Losik, prof. Tomasz Jasiński, Anna Wrzesińska, prof. Marzena Matla, prof. Hanna Kóčka-Krenz, prof. Andrzej B. Legocki, prof. Józef Dobosz.

Poszukując materiału do analiz, naukowcy zidentyfikowali około 350 potencjalnych nekropolii piastowskich rozsiadanych po całej Polsce. Jednak jedynie w ośmiu z nich odnaleziono szczątki ludzkie. W sumie badaniami objęto 33 osoby. W przypadku dziesięciu udało się z dużym prawdopodobieństwem potwierdzić ich tożsamość jako Piastów.

– W badaniach znanych postaci historycznych mamy do czynienia z podwójnym wyzwaniem. Najpierw musieliśmy udowodnić, że odnalezione szczątki należą do konkretnych osób, a dopiero potem możemy zastanawiać się nad ich pochodzeniem czy relacjami z innymi rodami. W odniesieniu do średniowiecznej dynastii królewskiej nikt wcześniej nie mierzył się z tym problemem w tak wielkim zakresie – wyjaśnia prof. Figlerowicz.

Projekt objął aż 13 pokoleń dynastii – w obrębie jednej z jej gałęzi, linii mazowieckiej – co czyni go wyjątkowym w skali Europy.

– To wyznaczenie nowych standardów. Po raz pierwszy udało się połączyć tak dużą liczbę danych historycznych, archeologicznych, antropologicznych i genetycznych, by opisać kilkanaście następujących po sobie pokoleń należących do jednej dynastii – podkreśla naukowiec.

Dzięki analizie DNA mitochondrialnego (mtDNA) udało się także powiązać badanych

PROF. FIGLEROWICZ: SŁOWIAŃSKOŚĆ TO POJĘCIE KULTUROWE – ZWIĄZANE Z JĘZYKIEM, TRADYCYJĄ I TOŻSAMOŚCIĄ. TEGO NIE DA SIĘ ODCZYTAĆ Z GENÓW

Piastów z ponad 200 postaciami z 10 europejskich dynastii królewskich. W grupie tej jest 108 Piastów, 32 Rurikowiczów, 12 Giedyminidów, 23 Arpadów, 15 Przemyślidów, 13 Hohenzollernów, 10 Habsburgów, 8 Wettynów, 5 Andegawenów i 4 Wittelsbachów. Dla wszystkich tych osób przewidziano do jakiej linii mtDNA należeli.

Wyniki te doskonale obrazują skalę powiązań rodzinnych średniowiecznych elit – znacznie szerszą, niż często przedstawia się ją w uproszczonych narracjach.

Co ciekawe, wyniki badań ujawniają też, że w obrębie dynastii piastowskiej mogło dochodzić do tzw. „złamania” linii męskiej, czyli do urodzenia dzieci pozamażeńskich.

– Wydaje się, że mamy do czynienia z dość typową sytuacją spotykaną w wielu dużych wielopokoleniowych rodzinach – zaznacza naukowiec. – Nie możemy jednak powiedzieć, czy takie zdarzenia miały miejsce wcześniej. Najstarszym z badanych przez nas Piastów był Władysław Herman – wyjaśnia.

Czy Piastowie byli Słowianami?

Największe zainteresowanie budzą wyniki dotyczące linii ojcowskiej. U badanych Piastów zidentyfikowano rzadką haplogrupę chromosomu Y – R1b-BY3549. W ogólnosiłowej bazie danych zawierającej informacje o wszystkich zbadanych dotąd osobach żyjących wcześniej lub w czasach tworzenia się państwa Piastów taką samą haplogrupę stwierdzono u zaledwie trzech osób żyjących w północno-zachodniej Europie (na terenach dzisiejszej Francji, Holandii i Anglii), w tym u jednego angielskiego wikinga z epoki wczesnych Piastów. – Dużo wskazuje na to, że Piastowie mogli pochodzić spoza Polski, gdyż ich haplogrupa chromosomu Y najczęściej występuje w Europie Zachodniej. Nie możemy jednak powiedzieć tego ze stu-procentową pewnością – zaznacza prof. Figlerowicz.

Jednocześnie naukowiec podkreśla ograniczenia takich analiz.

– Trzeba pamiętać, że chromosom Y stanowi mniej niż jeden procent genomu. Tymczasem właśnie na nim skupia się największa uwaga, gdyż tak jak władza w okresie średniowiecza, jest dziedziczony z ojca na syna – mówi.

W praktyce oznacza to, że badania pokazują tylko linię męskich przodków. Nie przesadzają natomiast, kiedy dokładnie pojawili się oni na ziemiach polskich.

Możliwe scenariusze są różne. Przodek z taką haplogrupą mógł przybyć w czasie kształtowania się państwa, ale równie dobrze mógł znaleźć się



Na czele zespołu, który opublikował najnowsze badania dotyczące DNA Piastów, stał prof. Marek Figlerowicz z Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu



Poszukując materiału do analiz, naukowcy zidentyfikowali około 350 potencjalnych nekropolii piastowskich rozsianych po całej Polsce. Jedynie w ośmiu z nich odnaleziono szczątki ludzkie

NAJWIĘKSZYM WYZWANIEM POZOSTAJE DOTARCIE DO NAJSTARSZYCH PRZEDSTAWICIELI DYNASTII – MIESZKA I BOLESŁAWA CHROBREGO

tu znacznie wcześniej. W takim przypadku jego potomkowie – mimo „zachodniego” śladu genetycznego – mogli już w pełni funkcjonować jako lokalna ludność.

Wyniki badań dotyczą też jednego z najbardziej wrażliwych tematów – pytania o „słowiańskość” Piastów.

– Nasze badania pokazują, że nie należeli oni do najbardziej typowej dla Słowian linii R1a – mówi prof. Figlerowicz. Jak jednak podkreśla, nie oznacza to automatycznie, że nie byli Słowianami.

– Słowiańskość to pojęcie kulturowe – związane z językiem, tradycją i tożsamością. Tego nie da się odczytać z genów – tłumaczy.

Nauka kontra mity

Jak zaznacza nasz rozmówca, badania nie są przypadkowe – wynikają z dwóch ważnych pobudek. Po pierwsze z chęci pokazania, że nauka może koncentrować się na zagadnieniach bliskich zwykłym ludziom. Po drugie, z potrzeby skonfrontowania powszechnej świadomości społecznej na temat historii Polski z danymi naukowymi. – To jest próba uporządkowania historii, oczyszczenia jej z mitów, które często powstawały jedynie po to, żeby ich twórcy – i całe społeczeństwa – poczuły się lepiej – mówi.

Zwraca uwagę, że takie opowieści, choć atrakcyjne, mogą prowadzić do nieuzasadnionych uproszczeń.

– Historia jest narracją, którą tworzymy, żeby uporządkować świat, lepiej się w nim poczuć i odnaleźć. Problemy pojawiają się wtedy, gdy nasze wyidealizowane wyobrażenia zaczynamy traktować jak fakty, na podstawie których budujemy swoje przekonania – także te dotyczące współczesności – dodaje.

Co dalej z badaniami Piastów?

To dopiero początek. Zespół zdobył już grant na kolejne badania. Największym wyzwaniem pozostaje dotarcie do najstarszych przedstawicieli dynastii – Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Pozyskanie ich szczątków jest jednak mało prawdopodobne, dlatego badacze szukają innych sposobów, by zbliżyć się do odpowiedzi na pytania związane z pochodzeniem Piastów.

Jednym z kierunków jest analiza cmentarzysk w rejonie Ostrowa Lednickiego – miejsca

ściśle związanego z wczesnym państwem Piastów. Naukowcy chcą sprawdzić, czy charakterystyczna haplogrupa chromosomu Y pojawia się także wśród ówczesnej ludności.

Możliwe, że w wyniku nieformalnych związków geny dynastii przenikały do lokalnej populacji.

– Jeżeli znajdziemy tę rzadką linię genetyczną wśród ludzi żyjących w otoczeniu Piastów, będzie to silna wskazówka, że rzeczywiście była ona dla nich charakterystyczna oraz że w okresie pomiędzy Mieszkiem I a Hermanem nie doszło do złamania linii męskiej – tłumaczy prof. Figlerowicz.

Równolegle prowadzone będą badania śląskiej gałęzi dynastii.

– Nie ulega wątpliwości, że dynamiczny rozwój technik pozyskiwania i sekwencjonowania kopalnego DNA może w przyszłości dostarczyć nowych informacji także na temat zbadanych już Piastów – dodaje profesor.

Czym jest archeogenomika?

Opisane badania nad Piastami to przykład interdyscyplinarnego projektu z obszaru archeogenomiki – dziedziny łączącej genetykę z archeologią i historią. Podstawowym obiektem analiz archeogenomicznych jest DNA pozyskiwany ze szczątków ludzkich sprzed setek lub tysięcy lat. To właśnie połączenie wspomnianych dyscyplin sprawia, że współczesna nauka coraz częściej potrafi powiedzieć o przeszłości więcej niż same źródła pisane.

W praktyce oznacza to pracę na materiale genetycznym wydobytym z kości. Naukowcy badają m.in. chromosom Y (linia ojcowska) oraz DNA mitochondrialny (linia żeńska). Każdy z nich pokazuje jednak tylko fragment historii przodków, a nie pełny obraz całego drzewa genealogicznego.

Kluczowym elementem takich badań jest także datowanie szczątków metodą C14, tak zwane datowanie radiowęglowe.

Polega ono na analizie zawartości izotopu węgla w kościach i pozwala określić, kiedy żył dany człowiek. Dzięki temu można zweryfikować, czy wiek szczątków jest zgodny z danymi historycznymi dotyczącymi danej osoby.

FOT. ROBERT WOZNAK

FOT. INSTYTUT CHEMII BIOORGANICZNEJ PAN W POZNANIU

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

POLICJA

Wykryli nielegalną hodowlę

Nielegalną hodowlę ptaków egzotycznych oraz objętych ścisłą ochroną wykryli policjanci w jednym z mieszkań w powiecie gliwickim. Mundurowi zabezpieczyli 18 ptaków, m.in. szczygła, kulczyka, makolągwę i czyżyka czerwonego oraz urządzenia, które służyły do ich odławiania.

Na trop właściciela hodowli wpadli policjanci z pierwszego komisariatu w Gliwicach. Ustalili, że mężczyzna samodzielnie odławiał dziko żyjące ptaki, a następnie przetrzymywał je i rozmnażał w warunkach domowych.

„Podczas interwencji kolekcjoner przyznał, że prowadzi hodowlę ptaków egzotycznych i posiada również ptaki objęte ochroną, które wcześniej odłowil. W trakcie czynności dobrowolnie wydał policjantom zwierzęta będące w jego posiadaniu” – opisywała KMP w Gliwicach.

Do czasu rozstrzygnięcia sprawy ptaki pozostają w miejscu dotychczasowego bytowania. O ich dalszym losie zdecyduje sąd.

BIURO BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO

Prof. Cenckiewicz rezygnuje



FOT. ADAM JANKOWSKI

Prof. Sławomir Cenckiewicz odchodzi z funkcji szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Uzasadnił swoją decyzję tym, że rząd Donalda Tuska nadal nie przyznaje mu poświadczeń umożliwiających dostęp do informacji niejawnych. Rezygnacja została przyjęta przez prezydenta Karola Nawrockiego.

RADA EUROPEJSKA

Premier Tusk na Cyprze

Premier Donald Tusk przybył wczoraj rano na Cypr, gdzie bierze udział w nieformalnym posiedzeniu Rady Europejskiej. Przywódcy UE omówią m.in. sytuację międzynarodową, w tym konsekwencje wojny na Bliskim Wschodzie.

Dzisiaj po godz. 9 odbędzie się spotkanie przywódców z przewodniczącą Parlamentu Europejskiego Robertą Metsolą,

a następnie sesja robocza Rady Europejskiej. Według Centrum Informacyjnego Rządu głównym tematem rozmów będzie sytuacja międzynarodowa, w tym wojna w Ukrainie oraz wydarzenia na Bliskim Wschodzie i związany z nimi kryzys energetyczny. Podczas posiedzenia odbędzie się też dyskusja w sprawie unijnego szczytu na lata 2028-2034.

KPO

Komisja Europejska poinformowała w czwartek, że pozytywnie oceniła czwarty wniosek Polski o płatność w ramach Krajowego Planu Odbudowy (KPO) na kwotę 7,2 mld euro. Warunkiem wypłacenia tych środków była m.in. reforma Państwowej Inspekcji Pracy (PIP) w celu rozszerzenia jej uprawnień. Według minister funduszy Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz pieniądze mają wpłynąć do Polski 1 czerwca.



Niskie bezrobocie i inflacja oraz rosnące wynagrodzenia skłaniają do zakupów

Andrzej Domański minister finansów i gospodarki

Czy powstanie komisja śledcza w sprawie Zondacrypto?

Oprac. Karolina Wrońska
Warszawa

Marszałek Sejmu Włodzisław Czarzasty jest zdania, że sprawa Zondacrypto to wymarzony materiał na komisję śledczą, ale trzeba to jeszcze spokojnie przemyśleć.

Według niego jednym z ciekawych pytań, na które mogłaby odpowiedzieć komisja śledcza, jest to, dlaczego mimo posiadanej wiedzy prezydent Karol Nawrocki wetował ustawy w sprawie rynku kryptoaktywów. Marszałek podkreślił, że rząd ostrzegał o zagrożeniach, była też o nich mowa podczas niejawnych obrad Sejmu.

– Ustawa ws. kryptoaktywów została dwa razy zawetowana i chcę powiedzieć jasno i precyzyjnie: to jest po prostu odpowiedzialność pana prezydenta Nawrockiego. Doprowadził do tego, że ludzie tracą w tej chwili pieniądze, oszczędności. Nie ucieknę od tej odpowiedzialności – podkreślił marszałek Sejmu.

Marszałek Czarzasty uważa, że „komisja śledcza powstanie wtedy, kiedy partie, które tworzą koalicję, zdecydują, że to jest dobry pomysł i że trzeba to zrobić”. Zaznaczył też, że nie było do tej pory rozmowy o komisji śledczej w gronie liderów koalicji rządowej.

Czarzasty pytany, czy będzie chciał spotkać się w tym gronie



FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Marszałek Czarzasty: Komisja śledcza powstanie wtedy, kiedy partie, które tworzą koalicję, zdecydują, że to jest dobry pomysł i że trzeba to zrobić

i przedstawić postulat powołania komisji, podkreślił, że nie traktuje tego w tej chwili jako rzeczy priorytetowej. – Spokojnie, trzeba to przemyśleć – zaznaczył.

Prezydenckie weta

Sejm w ubiegły piątek ponownie nie odrzucił weta prezydenta Karola Nawrockiego do ustawy o kryptoaktywach. Było to już drugie podejście Sejmu do odrzucenia weta prezydenta do ustawy o rynku kryptoaktywów.

Pierwszy raz prezydent zawetował ustawę na początku

grudnia ub.r. i podczas głosowania w tym samym miesiącu Sejm nie odrzucił weta. Rząd zdecydował się wtedy na ponowne wniesienie do Sejmu tej samej ustawy; została ona uchwalona, a następnie ponownie zawetowana przez prezydenta w lutym br. Ta ustawa różniła się od tej wcześniejszej jedynie wysokością maksymalnej stawki opłaty za nadzór KNF nad tym rynkiem.

O tym, że największa polska giełda kryptowalut może mieć poważne problemy z płynnością, pisały na początku kwietnia media. Analiza, do której do-

tarły money.pl i Wirtualna Polska, ujawniła spadek rezerw bitcoinów giełdy Zondacrypto o 99 procent. Użytkownicy zgłaszają problemy z wypłatą środków – podali dziennikarze.

Deklaracja prezesa PKOl

Wczoraj Radosław Piesiewicz, prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego (PKOl) powiedział na antenie RMF FM: Jeżeli do 30 kwietnia, tak mówią zapisy, do nas, do PKOl, nie wpłyną środki, mam podstawę do tego, żeby zerwać umowę i ta umowa zostanie zerwana bezkosztowo, bez żadnych perturbacji dla PKOl. I natychmiast zniknie neon z siedziby PKOl.

Jak przyznał, ostatni kontakt z prezesem Zondacrypto Przemysławem Kralem miał w zeszłym tygodniu i ten zapewnił go, że wszystko jest w porządku. Teraz – przekazał Piesiewicz – „esemesy nie dochodzą”.

Zaznaczył, że podpisując umowę sponsorską z Zondacrypto, działał w dobrej wierze i dochował wszelkie staranności. Jak dodał, sam inwestował w tę giełdę i stracił. Na pytanie, ile, odparł, że dużo.

Giełda od października jest sponsorem generalnym PKOl. Zgodnie z umową siedziba PKOl zmieniła nazwę na „Zondacrypto Centrum Olimpijskie”, a w lutym na budynku pojawił się wielki neon reklamujący sponsora. PAP

Komisja prawna w PE zagłosowała za uchyleniem immunitetu Obajtowskiemu, Jakiemu, Braunowi i Buczkowi

Oprac. Anna Nagel
Bruksela

Komisja prawna JURI w Parlamencie Europejskim opowiedziała się w czwartek za uchyleniem immunitetu europosłom PiS. W następnym kroku nad uchyleniem zagłosuje cała izba.

Aby immunitety zostały uchylone, wnioski w tej sprawie musi przegłosować Parlament Europejski na posiedzeniu plenarnym.

Członek komisji prawnej JURI, europoseł Lewicy Krzysztof Śmiszek poinformował, że komisja nie miała żadnych wątpliwości co do tego, aby uchylić immunitet czterem polskim europarlamentarzystom.

– W przypadku pana Grzegorza Brauna nie tworzy żadnych wątpliwości, że blokowanie drogi podczas uroczystości w Jedwabnem upamiętniającej masakrę polskich Żydów jest to coś, co nie mieści się w żadnych kategoriach debaty parlamentarnej czy roz-

mowy politycznej – powiedział Śmiszek. – W przypadku pana Obajtka blokowanie wolności pracy, zakazywanie dystrybucji być może kontrowersyjnego, ale jednak legalnie działającego tygodnika w Polsce nie znajduje zrozumienia wśród europejskich parlamentarzystów – wymieniał. – A jeśli chodzi o pana Jakiego, to jest to prywatny akt oskarżenia, który sędzia wniósł przeciwko niemu (...). Jeśli ktoś, polityk szczególnie, używa mocnych słów, oskarża sędziego o działania

niegodne z prawem albo zarzuca mu brak profesjonalizmu, to musi się liczyć z konsekwencjami – dodał europoseł Lewicy.

Jak dodał, w przypadku europosła Konfederacji Tomasza Buczka chodzi o naruszenie nieetykalności cielesnej uczestniczki jednej z demonstracji.

Uchylenie immunitetu nie oznacza uznania europosła za winnego, a jedynie umożliwia krajowym organom sądowym prowadzenie dochodzenia lub procesu sądowego. PAP

Czołowe zderzenie pociągów koło Kopenhagi. Jest wielu rannych

Oprac. Anna Nagel
Dania

Wczoraj w pobliżu miejscowości Hillerød koło Kopenhagi zderzyły się dwa podmiejskie pociągi. 17 osób odniosło obrażenia, z czego cztery są w stanie krytycznym.

Jak poinformował rzecznik kopenhaskiej straży pożarnej, doszło do czołowego zderzenia pociągów przy dość dużej prędkości. – Wszyscy pasażerowie zostali ewakuowani, nikt nie został uwieczony – podkreślił.

Na zdjęciach publikowanych w mediach widać, że przednie części składów pociągów są mocno pokiereszowane. Na miejscu trwała szeroko zakrojona akcja ratunkowa z udziałem karet pogotowia oraz śmigłowca duńskich sił powietrznych.

Pomocy udzielono łącznie 17 osobom, z czego cztery są w stanie krytycznym. „Wszyscy poszkodowani zostali przetransportowani z miejsca wypadku.

(...) Pasażerowie, którzy nie odnieśli obrażeń fizycznych, przebywają w punkcie zbiorczym – podały władze na platformie X. Burmistrzini gminy Gribskov Trine Egetved oświadczyła na Facebooku, że z pociągów, które uległy wypadkowi, korzysta wielu mieszkańców dojeżdżających do pracy oraz uczniów.

W Danii w połowie kwietnia doszło do kilkunastu wypadków na kolei z powodu awarii trakcji, co wywołało debatę w mediach na temat stanu technicznego infrastruktury. PAP



FOT. PAP/EPA

Do zderzenia dwóch podmiejskich pociągów doszło na północ od Kopenhagi

Na Litwie, przy granicy z Polską, powstanie poligon

Oprac. Karolina Wrońska
Litwa

Sejm Litwy przyjął wczoraj ustawę o utworzeniu poligonu w Kopciowie przy granicy z Polską. Poligon jest ważny m.in. dla wzmocnienia obrony wschodniej flanki NATO.

„Zagrożenie ze strony Rosji dla Europy i konieczność zapewnienia gotowości litewskich sił zbrojnych zmuszają nas do podjęcia zasadniczych działań w celu wzmocnienia zdolności obronnych kraju” – argumentował minister obrony Robertas Kaunas, cytowany w komunikacie resortu.

Kopciowo leży w pobliżu tzw. przesmyku suwalskiego – wąskiego pasa ziemi łączącego państwa bałtyckie z resztą NATO przez terytorium Polski. W przypadku konfliktu to jedyna droga lądowa, którą można przerzucić wsparcie do Litwy, Łotwy i Estonii.

Rozpoczęcie ćwiczeń na nowym poligonie planowane jest



FOT. LECH MUSZYŃSKI

„W obecnej chwili Polska nie planuje budowy poligonu przy granicy z Litwą. Wojsko Polskie posiada dziś wystarczającą liczbę poligonów, na których prowadzone są szkolenia krajowe oraz szkolenia z udziałem wojsk sojuszników” – zapewnił MON

już w 2028 r., a strzelnice mają powstać do 2030 r.

Teren poligonu obejmie około 14,4 tys. hektarów. Będą się tam odbywać ćwiczenia i szkolenia wojskowe z udziałem

3,5-4 tys. żołnierzy, czyli brygady. Większe ćwiczenia mają być organizowane pięć razy do roku i trwać do 10 dni, a przedsięwzięcia o mniejszej skali – regularnie. Władze Litwy zakładają, że w tych ćwiczeniach będą braли udział również żołnierze z Polski.

W związku z decyzją o budowie poligonu zostanie wycięte około tysiąca hektarów lasu, gdzie obecnie znajduje się prawie 2 tys. działek prywatnych. Lokalni mieszkańcy i aktywiści na rzecz ochrony środowiska od kilku miesięcy protestują przeciwko planom rozwoju infrastruktury wojskowej na tym obszarze. Na czwartek po południu zapowiedziano kolejny protest przed Sejmem w Wilnie.

Polski wiceminister obrony Paweł Bejda ogłosił w drugiej połowie marca, iż litewski poligon w Kopciowie nie będzie rozbudowywany po polskiej stronie. Wiceminister oznajmił, że rząd w Warszawie nie jest tym zainteresowany.

W reakcji na tę wypowiedź politycy litewscy, m.in. poseł

Rimantas Sinkevicius, przewodniczący sejmowej Komisji Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony, zapewnili, że strona polska – jeśli wyrazi taką wolę – będzie mogła w pełni korzystać z nowego poligonu.

„Polska popiera plany dotyczące rozbudowy infrastruktury poligonowej sojuszników, w tym plany Litwy” – oświadczyło następnie polskie MON.

Na stronie internetowej MON dodano, że deklaracja „dotycząca ewentualnego wsparcia wojsk litewskich przez polskich specjalistów zajmujących się infrastrukturą, jest aktualna” i „jeśli w przyszłości Wojsko Polskie otrzyma zaproszenie do udziału w ćwiczeniach na poligonie na Litwie, to weźmie w nich udział”.

Poinformowano także, że „w obecnej chwili Polska nie planuje budowy poligonu przy granicy z Litwą”. „Wojsko Polskie posiada dziś wystarczającą liczbę poligonów, na których prowadzone są szkolenia krajowe oraz szkolenia z udziałem wojsk sojuszników” – zapewnił MON.

Express
BYDGOSKI
www.express.bydgoski.pl

Redaktor naczelna **Alicja Polewska**
Prezes Makroregionu **Marek Ciesielski**
Dyrektor biura reklamy oddziału **Agnieszka Perlińska**
Dyrektor marketingu oddziału **Katarzyna Jabłońska**

Redakcja, ul. Zamoyskiego 2, 85-063 Bydgoszcz
tel. 52 32 63 100
redakcja@express.bydgoski.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC
Polskie Biuro Cenzury
KRAJOWA AGENCJA CENZURY

© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.expressbydgoski.pl/tresci w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Nieruchomości

GOSPODARSTWA

SPRZEDAM ziemię rolną: pszenrol.com.pl

Praca

ZATRUDNIĘ

OCHRONA z gr. niepełnosprawności
Włocławek tel. 668 085 925

SERWIS sprzątający Bydgoszcz tel.
604 630 556

Zdrowie

LABORATORIA

DR n.med. Maciej Świtoński-
chirurg choroby jelita grubego,
choroba hemoroidalna, 602298213,
60-229-82-13, 602-298-213, Bydgoszcz

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

MALARSKIE solidnie gwarancja tel.
502117515

ODNAWIANIE nagrobków, litery,
podnoszenie, czyszczenie, nowe
pomniki www.nagrobkus.pl 794647139

MONTAŻOWE

NAPRAWA okien, drzwi tel.
602720927

ROLETY ATRAKCYJNE CENY.
Producent „GARDA” tel. 52/372-04-04

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 60+ w maju od 1050 zł dostępny masaż leczniczy / dowóz, tel.: 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze
śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok.
z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie zlecisz
bez wychodzenia z domu
przez Internetowe
Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

AUTOPROMOCJA

Kondolencje i nekrologi w Twojej gazecie
przez Internetowe Biuro Ogłoszeń,
bez wychodzenia z domu

Tutaj zlecisz ogłoszenie

ibo.polskapress.pl

AUTOREKLAMA

aktualne
z całej Polski
przetargi

**nasze
komunikaty.pl**

REKLAMA 0011503189



Zielń Miejska
Zakład Pogrzebowy

UL. CZARTORYSKIEGO 13
24h / 7 - 52 324 99 99
WŁASNE KREMATORIUM

0011514632

Z głębokim żalem i wielkim smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszego długoletniego pracownika

śt.p

Krzysztofa Guzika

Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
i słowa wsparcia

składają

Zarząd i pracownicy Miejskich Wodociągów
i Kanalizacji w Bydgoszczy
– Spółki z o.o.

AUTOPROMOCJA

0310733296

Zleć
**nekrologi,
ogłoszenia
drobne,
życzenia**

Biuro ogłoszeń Expressu Bydgoskiego:

Bydgoszcz, czynne: pn.–pt. 8–16,

ul. Zamoyskiego 2,

tel. 519 503 513,

e-mail: magdalena.welka@polskapress.pl

Express
BYDGOSKI

**GAZETA
pomorska**

NOWOŚCI
DZIENNIK TORUŃSKI

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą rozwiązanie – aforyzm Krzysztofa Bilicy.

ROZWIĄZANIE: NIE ODNOSI SIĘ CUDZEJ KORZYSCI.

Małysz ogłosił rezygnację. Tajner nowym prezesem PZN?

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. **Adam Małysz nie będzie kandydował na drugą kadencję prezesa Polskiego Związku Narciarskiego. Legendarny skoczek w czerwcu zakończy swoją pracę w roli szefa PZN.**

Potwierdziły się nasze informacje, które przekazywaliśmy jako pierwsi, że Adam Małysz lada dzień podejmie decyzję odnośnie swojej przyszłości.

Prezes wziął urlop na podjęcie decyzji

- Prezes przez ostatni tydzień przebywał na urlopie, miał przemyśleć wszystkie potencjalne za i przeciw i zapewne wkrótce podejmie decyzję (...). Chcielibyśmy, aby tę decyzję ogłosił jak najszybciej, bo od tego też zależy przygotowania do innych strategii, które chcemy wdrażać - mówił nam sekretarz generalny Polskiego Związku Narciarskiego Tomasz Grzywacz.

Na ostateczną decyzję byłego znakomitego skoczka po tych słowach nie musieliśmy długo czekać. W środę wieczorem w rozmowie z Polsatem Sport przekazał, że nie wystartuje w wyborach zaplanowanych na połowę czerwca.

- Moja wizja tego, jak to ma wyglądać nie jest spójna z zarządem, więc moja decyzja jest na nie. Nie będę kandydował - poinformował „Orzeł” z Wisły.

Od pewnego czasu Małysz wielokrotnie przekazywał, że pierwsza kadencja w roli sternika PZN sporo go kosztowała. Z tego powodu nie był przekonany, czy będzie ubiegał się



FOT. WOJCIECH MATYSIAK

Stary i najpewniej nowy prezes PZN Apoloniusz Tajner i aktualny jeszcze sternik polskich nart Adam Małysz

o kolejną. Wspominał o hejcie w internecie i przypuszczaniu na niego atakach nie tylko w mediach.

Małysz poddał się przez biurokrację

- Jest wiele za, ale jest też wiele przeciw, żebym kandydował na kolejną kadencję. Pod kątem sportowym chciałbym, pod kątem biurokracji i tego, co często się dzieje w naszym środowisku, to nie. Najgorsze jest, gdy zaczyna się atak i hejt. I nawet nie mówię tutaj o kibicach, czy dziennikarzach. Niejednokrotnie dostawałem po uszach, że coś nie funkcjonuje, a de facto, to

chciałbym być po drugiej stronie i pojechać z zawodnikami na zawody, a nie siedzieć prawie do północy i podpisywać dokumenty. Niestety, u nas w kraju wszelka dokumentacja w dalszym ciągu zabiera bardzo dużo czasu - powiedział nam Małysz.

Wszystko wskazuje, że Tajner wróci

Wszystko wskazuje na to, że jego następcą Małysza będzie dawny szef polskiego narciarstwa Apoloniusz Tajner, który kilka dni temu na antenie Eurosportu przekazał, że chce ubiegać się ponownie o fotel prezesa PZN.

- Tak, będę kandydował. Namawiała mnie do tego grupa delegatów - powiedział. Tajner był prezesem PZN w latach 2006-2022, a w przeszłości trenerem Małysza z którym świętował wielkie sukcesy. Teraz będzie prawdopodobnie jedynym zgłoszonym kandydatem, który wystartuje w wyborach.

Za czasów Tajnera PZN rozkwitł

- Apoloniusz Tajner jest legendą Polskiego Związku Narciarskiego zarówno jako trener jak i prezes. Za jego czasów nastąpił największy rozkwit i rozwój związku, w związku z tym, jeżeli na tym stanowisku nie pozostałby Adam Małysz, to sądzę, że akurat Apoloniusz Tajner jest osobą, która sprawdzi się na tym stanowisku - powiedział nam sekretarz generalny PZN Tomasz Grzywacz.

Kadry trenerskie pozostaną bez zmian

Na środowowym posiedzeniu związku nie zapadły ostateczne decyzje dotyczące trenerów oraz poszczególnych kadr na nowy sezon, choć pierwotnie taki był plan. Te mają zostać ogłoszone 28 kwietnia. Wstępnie wiadomo, że kadry trenerskie pozostaną bez zmian, nie jest jeszcze pewne jak będą wyglądać zestawienia reprezentacji A i B zawodników.

Nie wiadomo, czy w strukturach PZN zostanie Adam Małysz, który za kadencji Tajnera był dyrektorem sportowym. Walny zjazd sprawozdawczo-wyborczy PZN odbędzie się najprawdopodobniej 13 czerwca.

©©

Zwycięski gol Yamala okupiony ciężką kontuzją i dłuższą przerwą w grze

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁK NOŻNA. **Barcelona wygrała ligowy mecz z Celtą Vigo 1:0, ale okupiła to kontuzją swojej największej gwiazdy Lamine'a Yamala.**

Yamal w 40. minucie wykorzystał rzut karny, który sam wywalczył, dając Barcelonie prowadzenie 1:0. Jednak tuż po strzale z 11 metrów położył się na murawie i zgłosił problemy zdrowotne. Nie był w stanie kontynuować gry, ale zszedł z boiska o własnych siłach i udał się prosto do szatni. Jeszcze przed zakończeniem meczu opuścił stadion i pojechał do szpitala. 18-letni skrzydłowy doznał naderwania ścięgna podkolanowego. Jego powrót na boisko może potrwać około pięciu tygodni, co wiązałoby się z opuszczeniem nadchodzącego El Clasico w LaLiga z Realem Madryt oraz początku mistrzostw świata 2026.

Po meczu pomocnik Barcelony i reprezentacji Hiszpanii,

Pedri, odniósł się do kontuzji kolegi i wyraził nadzieję, że Yamal nie będzie długo pauzował.

- Mam nadzieję, że Lamine opuści jak najmniej czasu. Jutro przejdzie badania i zobaczymy, na czym polega problem. Życzę mu wszystkiego najlepszego i mam nadzieję, że zachowa spokój, bo jest jeszcze młody - stwierdził Pedri.

Kilkanaście minut przed kontuzją Yamala uraz wykluczył z dalszej rywalizacji także jego kolegę z drużyny, Portugalczyka Joao Cancelo.

Po trafieniu Yamala mecz został wstrzymany na kilkanaście minut, bo służby medyczne ruszyły na trybuny, aby udzielić pomocy osobie, która zasłabła. Hiszpańska „Marca” doniosła, że doszło u niej do zatrzymania akcji serca, ale lekarzom udało się ją przywrócić.

Po wznowieniu rywalizacji wynik już się nie zmienił. Polacy z Barcelony - Robert Lewandowski i Wojciech Szczęsny - oglądali spotkanie z ławki rezerwowych.

©©



FOT. EPA/PAP

Załamany kontuzją Lamine Yamal schodzi z boiska przed przerwą meczu Barcelona - Celta Vigo (1:0)

Pojedynek gigantów o fotel prezesa: Czerwonka kontra Niedźwiedzki

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE. **W sobotę wybór nowego prezesa Polskiego Związku Łyżwiarstwa Szybkiego, o co ubiegać się będą medalści olimpijcy Natalia Czerwonka oraz Konrad Niedźwiedzki.**

Nie jest tajemnicą, że kandydatura dyrektora sportowego PZŁS oraz szefa ostatnich misji olimpijskich podczas igrzysk w Paryżu i Mediolanie byłaby niejako kontynuacją polityki prowadzonej

przez ustępującego prezesa Rafała Tatarucha, który nie może się ubiegać o kolejną kadencję. Szefem związku był od 2018 roku, czyli dwie czteroletnie kadencje.

- Chcę postawić na kontynuację tego, co zostało zrobione przez ostatnie lata. Uważam, że jako związek jesteśmy w dobrym miejscu i tę pracę należy kontynuować i rozwijać we wszystkich obszarach. Ludzie mnie znają i wiedzą, jak pracuję oraz że jestem aktywny. Należy się skupić na kontynuacji szkolenia, czyli tworzeniu silnych kadr za-

równo na torze długim, jak i w short-tracku. To nam się udało zrobić i trzeba iść za ciosem - mówi nam Konrad Niedźwiedzki, dyrektor sportowy PZŁS, brązowy medalista w drużynie z igrzysk w Soczi.

Na walnym zgromadzeniu wyborczym w Warszawie, do zgarnięcia będą 74 głosy. Każdy klub ma inną liczbę mandatów w zależności od tego, ile szkoli młodzieży i czy ma w swoich szeregach olimpijczyka. Najwięcej - aż 10 głosów - przysługuje Juwenii Białystok. Akademia Sporto-

wego Rozwoju Natalii Czerwonki z Lubina ma trzy mandaty. - Jestem sportowcem i jestem wychowana w duchu zdrowej rywalizacji sportowej. Gdy cały czas słyszałam, że jest tylko jeden kandydat, to stwierdziłam, że dla całego naszego środowiska jest to bardzo złe i źle o nas świadczy. To był jeden z głównych powodów dla których zdecydowałam się wystartować - mówi nam Natalia Czerwonka.

- Konrad Niedźwiedzki jako dyrektor sportowy swoją pracę wykonuje bardzo dobrze. Da-

rę go ogromnym szacunkiem i to jest pierwsza w historii taka sytuacja, gdy o stanowisko prezesa ubiegać się będzie dwóch kandydatów z medalami olimpijskimi. Jestem odważną osobą i nie boję się wyzwań. Widzę ogromne pole do działania w rozwoju łyżwiarstwa szybkiego. Widzę braki w komunikacji więc będzie co robić - dodaje Czerwonka.

Wybitna była panczenistka przyznaje, że Polski Związek Łyżwiarstwa Szybkiego jest jednym z najlepiej działających związków sportowych w kraju.

Mimo to widzi ogromne pole do rozwoju i upowszechniania dyscypliny. - Chciałbym także powrotu naszej dyscypliny do Telewizji Polskiej, abyśmy byli bardziej rozpoznawalni. Będąc na ostatnich igrzyskach, marzyłam o tym, że to my, łyżwiarze szybcy wrócimy do Polski z trzema medalami i staniemy się taką zimową narodową dyscypliną dla Polaków. Tak się jednak nie stało, ale wciąż wierzę, że tak może być - przekonuje w rozmowie z Polska Press Czerwonka.

©©

SPORT

www.sportowy24.pl

W Grudziądzu spotkanie o wielkiej stawce, w Toruniu będzie trenerski debiut

Dariusz Knopik

dariusz.knopik@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Sezon w rozgrywkach ligowych wchodzi w decydujący moment. Spotkania mają wielkie znaczenie dla układu tabeli.

W 29. kolejce Betclit 2. Ligi wydarzeniem będzie mecz Olimpia Grudziądz - Warta Poznań czyli wicelidera z trzecim zespołem, które w tabeli dzieli tylko punkt. Dodajmy, że biało-zieloni tracą do prowadzącej Unii Skierniewice trzy „oczka”. Przypomnijmy, że awans wywalczą dwa pierwsze zespoły, a drużyny z miejsc 3-6 grają dwustopniowe baraże. Grudziądzanie w pierwszej rundzie przegrali w Poznaniu 2:3. Czas na rewanż. Mecz w niedzielę o godz. 19.30. Transmisja w TVP 3 oraz w internecie na stronie sport.tvp.pl.

W Betclit 3. Lidze czas na 28. kolejkę. Prowadzący w rozgrywkach Zawisza Bydgoszcz pojedzie do Błękitnych Stargard bronić skromnej dwupunktowej przewagi nad Wikędem Luzino. Niebiesko-czarni udadzą na Pomorze Zachodnie w kiepskich humorach po odpadnięciu z Pucharu Polski Kujawsko-Pomorskiego Związku Piłki Nożnej. Bydgoszczanie przegrali po serii rzutów karnych 2:4 z czwartoligową Pogonią Mogilno. W regulaminowym czasie i po dogrywce było 0:0. Tym samym zawiszanie nie obronią trofeum. Mecz Błękitni - Zawisza w sobotę o godz. 13.



Jesienią Olimpia (różowe koszulki) przegrała Poznaniu. Teraz chce się zrewanżować Warcie

KOLARSTWO

Świetne ściganie torunianki w Holandii

Kolejny znakomity wynik na koncie Marii Okrucieńskiej. Torunianka w barwach zespołu Grouwels-Watersley R&D Road Team nie miała sobie równych w dwudniowym wyścigu Toekomstcup - Col du Vam w Holandii. Okrucieńska najpierw wygrała jazdę indywidualną na czas z przewagą 30 sekund nad kolejną zawodniczką, a potem była także najlepsza na 50-kilometrowej trasie ze startu wspólnego.



FOT. ARCHIWUM

SIATKÓWKA

Z Sokoła do reprezentacji

Stefano Lavarini, selekcjoner kobiecej reprezentacji Polski, powołał do szerokiej kadry na sezon 2026 Karolinę Panczewicz, libero Sokoła & Hagric Mogilno. W sumie zostało powołanych 26 siatkarek.

Wyjazd może być łatwiejszy niż domowy mecz

Magdalena Zimna

magdalena.zimna@polskapress.pl

ŻUŻEL. Pres Toruń na wyjeździe, Bayersystem GKM u siebie, ale to grudziądzanie mają - wydaje się - trudniejsze zadanie do wykonania w 3. rundzie PGE Ekstraligi.

Piątkowy mecz w Częstochowie to szansa dla Pres na wyjazdowe zwycięstwo. Co prawda w dwóch pierwszych kolejkach torunianie nie zachwycali formą (wysoka przegrana w Lublinie, wymęczone zwycięstwo z Unią Leszno na Motoarenie), ale jadą do najsłabszej drużyny w lidze. Włókniarz za sobą dwa słabe mecze - 31 punktów zbierał w Lesznie, a 26 na swoim torze w meczu z Motorem. W starciu z Pres, faworytami są mistrzowie Polski.

Kłopotem Aniołów, poza niepewną formą kilku zawodników, może być zdrowie Mikkela Michelsena. Żuźlowiec upadł jednym z biegów w lidze duńskiej i nie dokończył spotkania. Zaraz po meczu Michelsen ruszył w podróż do Polski (na co dzień



FOT. SŁAWOMIR KOWALSKI

Start Mikkela Michelsena stanął pod znakiem zapytania

mieszka w Rybniku), gdzie przeszedł dokładne badania.

Jest problem z ramieniem, nogą i kolanem, ale o szczegółach nie ma co mówić. Czekamy na diagnozę - mówił Adam Krużyński, z Rady Nadzorczej KS Toruń w Przeglądzie Sportowym.

Według nieoficjalnych informacji obrażenia Duńczyka nie są jednak poważne, żuźlowiec jest tylko mocno poobijany. Decyzja o jego występie w meczu z Włókniarzem zapadnie zapewne w piątek.

WŁÓKNIARZ: 9. Tungate, 10. Szostak, 11. Hansen, 12. Miśkowiak, 13. Lidsey, 14. Curzyński, 15. Ludwiczak
PRES: 1. Dudek, 2. Lambert, 3. Bloedorn, 4. Michelsen, 5. Sajfutdinow, 6. Kawczyński, 7. Duchirski

Grudziądzka drużyna dopiero co w czwartek odrabiała zaległości w Zielonej Górze (mecz zakończył się po zamknięciu tego wydania), a już w niedzielę wraca na swój tor, na mecz ze Spartą. I wcale nie będzie to łatwiejsze zadanie niż wyjazdowe

starcie, bo wrocławianie imponują formą na początku sezonu. W pierwszej kolejce rozbili Falubaz 64:26, w drugiej wygrali w Gorzowie 46:44. W Grudziądzu czują się niezłe, zwłaszcza lider Sparty Artiom Łaguta, który zna wszystkie „kąty” na torze przy H4.

W ekipie Roberta Kościechy początek sezonu kiepski mieli zwłaszcza Max Fricke i Maksym Drabik, więc zwłaszcza na lepszą formę tej dwójki liczą w GKM. Obaj zawodnicy ostro trenowali przez ostatni tydzień.

Grudziądzanie muszą się dobrze przygotować na ten mecz. Ewentualna wpadka może ich słono kosztować w kontekście walki o play off.

GKM: 9. Jensen, 10. Miller, 11. Drabik, 12. Fricke, 13. Tarasenko, 14. Iwarski-Helt, 15. Małkiewicz
SPARTA: 1. Kurtz, 2. Bewley, 3. Kowalski, 4. Janowski, 5. Łaguta, 6. Kowolik, 7. Andersen

3. runda PGE Ekstraligi - piątek: Włókniarz Częstochowa - Pres Toruń (18.00), Motor Lublin - Falubaz Zielona Góra (20.30); **niedziela:** Unia Leszno - Stal Gorzów (17.00), Bayersystem GKM Grudziądz - Sparta Wrocław (19.30). Transmisje w Canal+Sport i C+online.

Klasyk we Włocławku, misja Astorii w Kołobrzegu

Joachim Przybył

joachim.przybyl@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. Anwil kontra Śląsk to zawsze wydarzenie w Orlen Basket Lidze. Astoria jedzie do Kołobrzegu przynajmniej po jedno zwycięstwo.

Włocławianie mają jeszcze realne szanse na top 6, ale też wciąż nie mogą być pewni nawet występów w play in. Każdy mecz teraz jest na wagę złota. Anwil wciąż jeszcze nie pokazał pełnych możliwości, ale wygrał cztery mecze z rzędu i traci już tylko punkt do szóstych Dzików Warszawa.

Pod znakiem zapytania stoi występ w ligowym klasyku Elvara Fridrikssona. Znakomicie spisujący się Islandczyk ostatni mecz z Zastalem Zielona Góra zakończył z kontuzją stawu skokowego. Dokładne badania nie wykazały poważniejszych uszkodzeń i w tym tygodniu rozgrywa-

jący przechodził intensywną rehabilitację.

Ale i Śląsk ma kłopoty. Kontuzjowany jest lider tej drużyny Noah Kirkwood i bez niego wrocławianie przegrali dwa ostatnie mecze ze Stalą Ostrów Wielkopolski i Arką Gdynia.

Początek meczu w Hali Mistrzów w sobotę o godz. 17.30.

Arriva Lotto podejmie w piątek godz. 20.15 Górnika Wałbrzych. Gospodarze mają jeszcze matematyczne szanse na awans do play in, ale musieliby wygrać wszystkie cztery ostatnie mecze, a Górnika i Zastal wszystkie swoje przegrać.

Enea Abramczyk Astoria zagra dwa mecze w Kołobrzegu i musi przynajmniej raz pokonać Kotwicę, aby nie zakończyć przedwcześnie sezonu.

W tej rywalizacji swoje znaczenie mają kontuzje. W Astorii wciąż brakuje Mikołaja Jamiołkowskiego i Wojciecha Dzierżaka, w barwach Kotwicy w dru-



FOT. ARKADIUSZ WOITASIEWICZ

Karol Gruszecki to jeden z liderów Astorii

gim meczu nie było czołowych strzelców Filipa Małgorzaciaka i Remona Nelsona. Obaj mają jednak już wrócić na dwumecz w Kołobrzegu.

Będziemy gotowi na każdy wariant. Już przed meczami w Bydgoszczy braliśmy pod uwagę, że Filip może zagrać. Mam nadzieję, że my też bę-

dziemy w końcu prawie kompletni i będziemy rywalizować w play off na równych warunkach - podkreśla Grzegorz Skiba.

Jesteśmy zadowoleni z dwumeczu w Bydgoszczy, teraz chcemy wygrać dwa razy u siebie - mówi Wojciech Dzierżak.

Mecze w sobotę i niedzielę o godz. 18.00. ©©